Nr. 39. Warszawa, dnia 29 (17) Września 1894 r. Rok XIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2.** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Szan. Abonentom kwartalnym przypominamy nadchodzący termin przedpłaty.

POLITYKA.

MOWY.

Swieża anegdota opowiada, że Wilhelm II zagadnął kogoś z załogi na swym jachcie, jak rozumie głoski *i(mperatur) r(ex)*, które on dodaje w podpisach do swego imienia; zapytany odrzekł: *immer redender* (ciągle mówiący). Jak każda anegdota, i ta jest zmyśleniem, ale jak każda i ta ujmuje rys charakterystyczny. Rzeczywiście nie ma w Europie monarchy, którýby przez cały ciąg długiego panowania wygłosił tyle mów, co cesarz niemiecki. Widocznie on tego rodzaju występy lubi i z przyjemnością napawa się tem silnem wrażeniem, jakie słowa jego sprawiają nietylko na bezpośrednich słuchaczach, ale na całej bezmiernej masie ludzi, zajmujących się polityką. Zaledwie telegraf obwieścił jego przemowę w Królewcu, musiał natychmiast roznieść po świecie drugą—w Toruniu. Pierwsza poświęcona była wykładowi prawowitego stosunku szlachty (junkrów) do tronu. Było rzeczą dość naturalną, że cesarz zabierając głos w dzielnicy z ludnością mieszaną, wspomniał przytem o jej żywiołach nieniemieckich, ta wszakże wzmianka nie zawierała nic więcej, prócz wiary w ich lojalność i zapewnienia, że co oręż pruski zdobył, to oręż utrzyma. Tymczasem zaszedł wypadek, który skłonił Wilhelma II do nadania drugiej mowie innych i bardzo mocnych akcentów. Mianowicie niemcy poznańscy wysłali tłumną deputacyę z hołdem do Bismarka. Podobno władze cywilne i wojskowe—czy to dla przypodobania się rządowi, czy też—jak chce *Köln. Zeitung*—pod wpływem arcybiskupa Stablewskiego, zabroniły swym podwładnym przyjęcia udziału w tej pielgrzymce. Były kanclerz, witając i oświecając w polityce swych gości poznańskich, uderzył z całą mocą na tamtejszą szlachtę polską, której odmówił uczuć wiernopoddańczych, karcąc przytem rząd za okazywane jej łaski. Nie było w tem piorunowaniu nic nowego, gdyż Bismark zawsze rzucał gromy na tych *Reichsfeindów*, tym razem wszakże jego słowa nietylko znalazły odgłos i poklask w narodzie, ale oddziałały na cesarza, który albo uznał ich słuszność, albo też uważał za potrzebne osłabić skierowany przeciwko jego polityce zarzut. Natychmiast bowiem wypowiedział mowę w Toruniu, gdzie już ostro napomniał swoich poddanych polskich. Ten zwrot podobał się bardzo w Warcynie, a Bismark poczytał go za pomyślny skutek swojej przestrogi. Gdy więc przybyła do niego deputacya z Prus Zachodnich, podjął tę sprawę ponownie. Przedewszystkiem stanął w obronie komisyi kolonizacyjnej, która w ostatnich czasach zwolniła swoją robotę. „Instytucya ta—rzekł on—miała na celu rozrachowanie się ze szlachtą polską w sposób pojednawczy. Płaciliśmy rzeczywiste ceny za majątki. Ale mojem zdaniem pośpieszono się zanadto z umieszczeniem funduszu, uchwalonego przez sejm. Należało zatrzymać przez pewien czas w ręku majątki nabyte i zużytkować je wedle możności. Przez tworzenie mniejszych posiadłości byłoby się zyskało jeżeli nie niemców, to przynajmniej ludność, przychylną rządowi.“ Koniec mowy nie pozostawił nic do życzenia pod względem szczerości i stanowił rodzaj hasła bojowego. „Nie wiem—ciągnął Bismark—czy król w podbijającej serca odezwie swojej w Królewcu, wzywającej do walki przeciwko stronnictwom przewrotu, miał także na myśli szlachtę polską; dla nas jednakże jest ona stronnictwem przewrotu, my musimy z nią walczyć na życie i śmierć. Do walki tej nie przyjdzie, jeżeli my, niemcy, będziemy żyli w zgodzie pomiędzy sobą, dalej z cesarzem i książętami Rzeszy. Miło dla nas pomyśleć, że cesarz zgadza się z tym programem. Oby Pan Bóg dał mu doradców i sług, gotowych do działania w myśl tego programu. W tym duchu wzywam was wszystkich do wzniesienia okrzyku na cześć cesarza: „Niech żyje!“— Jak widzimy, cesarz i były jego doradca, którzy pomimo wzajemnych usiłowań nie mogli się porozumieć na żadnym gruncie politycznym, na tym podali sobie ręce. Nigdy Bismark nie odzywał się z takim zapałem i uznaniem o Wilhelmie II i nigdy na cześć jego nie wznosił tak entuzyastycznie okrzyku, jak w tej sprawie.

Nie potrzebujemy zdaje się upewniać czytelników, jak ta zgoda rozradowała serca niemców: dała ona im bowiem dawno pożądany widok harmonii między cesarzem i oblubieńcem narodu, a nadto zwróciła się przeciwko żywiołowi dla nich nienawistnemu, którego zagłada jest uważana za konieczność interesu państwowego. Dawno już nie zestroiło się w Niemczech tak szerokie unisono, które wskazuje, jaka idea ma tam najwięcej wyznawców i jaki żywioł — najliczniejszych nieprzyjaciół. Jest to wypadek bardzo pouczający dla tych, którzy go zrozumieją i zapamiętają.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

O ile zwycięstwo japończyków pod Piöng-jangiem było dowodem ich siły lądowej, o tyle drugie nad rzeką Jalu okazało się przewagą morską. Cztery olbrzymie okręty chińskie zostały zatopione, kilka innych doznało takich uszkodzeń, że musiano je odesłać na kura-

cyę do warsztatów. Jest to już pogrom, że eskadra północna Chin uległa zupełnemu rozbiciu, ale rozmiary obu klęsk znacznie powiększają się o wpływ moralny, jaki one wywarły na obie strony. Zwycięzcy nabrali jeszcze więcej ducha, a zwyciężeni stracili go do reszty. Daremnie cesarz chiński ścina głowy mniemanym winowajcom i odbiera pawie piórka z trzema oczkami dostojnikom, którzy tak źle poprowadzili wojnę,—wszystkie te gniewy i kary nie przywracają wojsku męztwa, a narodowi otuchy. Przeciwnie, gazety dostrzegają już poważne wrzenie i przepowiadają rewolucyę w Chinach przeciw panującej obecnie dynastyi. Może ją przyśpieszyć dalszy pochód zwycięzki Japonii, która odrzuciła propozycye ugodowe i przenosi wojnę do kraju nieprzyjacielskiego.

Wspomniano w dziennikach kilkakrotnie, że ze strony państw europejskich podjęto myśl pośredniczenia między stronami walczącemi. Jeżeli ten zamiar rzeczywiście istniał, to zaniechano go niezawodnie po tryumfach japońskich. Takie bowiem usługi wojenne narzucane bywają zwykle zapaśnikom słabym, których można zmusić do przyjęcia ich. Tymczasem Japonia rozwinęła taką potęgę militarną, że nie można jej uważać za koguta, który drugiemu kogutowi wydziobuje oczy i wyrywa pióra. Jest to mocarstwo, z którem należy się liczyć.

Za porażki na polu bitew chińczycy mszczą się na bezbronnych europejczykach, którzy osiedli w ich kraju. Telegraf ciągle donosi o napaściach i rozbojach na chrześcian. W wypadku rewolucyi nienawiść może rozszaleć jeszcze gwałtowniej.

Francya przygotowywa się po cichu do wyprawy przeciw Madagaskarowi. Zdecydowała się na nią nie dlatego, ażeby tam istotnie zapanowały „stosunki opłakane,“ ale dlatego, że wojna chińsko-japońska, odciągająca ku sobie uwagę powszechną, pozwala na operacye zdobywcze w innej stronie. Dotychczas nie wynaleziono jeszcze żadnego „krzyczącego faktu,“ któryby wytwarzał potrzebę zbrojnego wystąpienia i podniecał entuzyazm, ale gdy wszystko będzie w pogotowiu, i ten fakt się znajdzie.

Wybory do sejmu bulgarskiego dały większość rządowi, chociaż niektórzy ministrowie (Radosławow) nie wyszli z urny. Na wierzch znowu wypłynął Cankow. Po upadku Stambułowa zbliżył on się do kraju i zamieszkał w Serbii, wniósłszy prośbę, ażeby mu pozwolono wrócić do ojczyzny. Rząd nie przychylił się do niej i Cankow pozostał nadal za granicą, ale do sejmu wybrano sześciu jego zwolenników.

Delegacye austro-węgierskie, przepuściwszy przez młyn parlamentarno-dziennikarski mnóstwo plew, które wiatr natychmiast rozwiał, zamknęły się do roboty w komisyach. Nastała więc w Austryi cisza, którą przerywa tylko gwar czechów, usiłujących zgrupować się inaczej, gdyż dotychczasowa rozterka grozi im utratą wpływu politycznego. Młodoczesi po odpadnięciu grupy radykalnej osłabli, więc chodzi o to, ażeby ich przyciągnąć lub też odłam umiarkowany połączyć ze starymi.

BADANIA NAUKOWE.

KOBIETY MATEMATYCZKI.

Kanonik francuski Goujet pisał w r. 1728:

„Jeślibyśmy chcieli zebrać wszystko, czego kobiety dostarczyły nauce, powstałaby wiązanka spora i hoża. Dotknęlibyśmy najpierw wynalazków i badań, prowadzonych przez umysły poważne i podążające ku wytkniętemu celowi, potem przyszłaby kolej na współpracowniczki, których prace utonęły w dziełach towarzyszów, nareszcie na protektorki i te, które same studyowaniem przedmiotu przyczyniły się do utrzymania go na danym poziomie, a potem przekazały innym.“

Silny bowiem prąd naukowy, który w naszych czasach porywa, mimo nawoływań i świętego oburzenia stojących na brzegu, tyle jednostek kobiecych, nie od dziś płynie. W naszym wieku, przenosząc ten ruch w masy, ogarnął on szersze błonia, fale jego jednak srebrzyły się i w przeszłych stuleciach. Argument o zaniedbywaniu przez kobiety uczące się zajęć domowych, obawy o los rodziny, zagrożonej dążnościami niewiast do oświaty, znajdziemy tomiż słowy, co dziś, wypowiedziane w jednej z poezyj Andrzeja Chénier na schyłku XVIII w. oraz w broszurach stuleci poprzednich. Ale wawrzyny na czołach, którym brutalnie wzbraniano myślenia, równocześnie zajaśniały. Gdyby jeden tylko uniwersytet boloński dostarczał dowodów na korzyść uzdolnień kobiety, starczyłoby ich. Przez kilkaset lat chlubił się on całym szeregiem profesorów niewieścich. W językach, filozofii i filologii dzieje jego wymieniają jako wybitne talenty, Priscopię Cornaro i helenistkę Klotyldę Tambroni, której uczniem był Mezzofanti. W prawie: Dottę, córkę Franciszka Accursiusza, zmarłego w r. 1229, Bittizię Gozzadini, z powodu której ogłoszono rozprawę: *De mulierum doctoratu*, dwie siostry—Novellę i Bettinę Calendrini. W naukach przyrodniczych: Aleksandrę Gigliani, Maryę Petraccini, Annę Manzolini, Sybillę Merian, z pochodzenia niemkę, wybitną insektologistkę, która udawała się na studya do Gujany holenderskiej i pozostawiła znaczne zbiory uniwersytetowi. Fizyka i matematyka przytaczają Teresę i Magdalenę Manfredi, wreszcie Laurę Bassi, która chociaż wykładała przez czterdzieści lat, mogła poślubić doktora Veratiego i być wzorem żony i matki.

A włoszki innych grodów, francuzki, które przez trzy stulecia ogniskowały około siebie ruch literacki Francyi? Kobiety, których imiona przed laty wyryte zostały w Panteonie wiedzy, założyły fundament dążnościom kobiety spółczesnej.

A. Rebière *) spiął jedną sprzążką teraźniejszość z przeszłością. Obok dwu niewiast spółczesnych nakreślił sylwetki trzech z wieku osiemnastego, jednej z epoki greckiej. Praca jego, wygłoszona pierwotnie w formie odczytu, już dla tego samego nie mogła objąć całokształtu twórczości kobiecej w dziedzinie matematyki. Zawiera jednak wiele danych. Jest właściwie zapowiedzią dzieła źródłowego i gruntownego, o tym samym, tylko że rozszerzonym planie, a o materyał do niego zwraca się autor przy końcu do matematyków i badaczów wszystkich narodowości.

W czwartym wieku po Chrystusie wykładał w szkole aleksandryjskiej matematyk Theon, znany również jako przyrodnik. Literatura przypisuje mu, prawdopodobnie mylnie, pismo o wróżbach i głosach kruków. Jego córką była Hypatya.

Młoda greczynka pobierała u ojca pierwsze nauki, potem, jak wieść niesie, udała się do Aten słuchać wykładu Plutarcha młodszego i jego córki Asklepigenii, razem zarządzających szkołą filozoficzną. Już na wykłady Platona uczęszczały kobiety przebrane za mężczyzn: Aksyotea i Lastenia.

Za powrotem z Attyki, władze aleksandryjskie ofiarowały filozofce katodrę publiczną. Przyjęła ją i wykładała przez lat

*) A. Rebière. *Les femmes dans la science.* Paryż, 1894.

---

5)

KLUB SZACHISTÓW

KOMEDYA.

Urbin doznał dziwnego wrażenia, uświadomiwszy sobie, że ten obcy człowiek, który na nich patrzy, nietylko wie, co oni w największej skrytości kiedyś czynili, ale nawet zgaduje, o czem mówią i myślą teraz. Było to wrażenie takie, jak gdyby ktoś nagle wysunął go z ubrania i postawił nagim. Tymczasem prezesowi nie chodziło bynajmniej o proste zadowolenie swej ciekawości i bezcelowe szpiegowanie towarzysza. Miał on ważniejszy ku temu powód. Tuż przy nim siedziała młoda panienka wysokiej urody, która prowadziła z nim przyciszoną rozmowę. Było to jeszcze dziecko—nie przeszła lat 18—ale dziecko bardzo szybko dojrzewające. Zarumieniona młodością twarzyczka układała się co chwila w jakiś energiczny wyraz, a czarne oczy pod bujnym złocistym włosem miały bezdenną głębię, w której na przemiany to migał wesoły urok, to płonął mocny zapał. Widząc ją, nie wątpiłeś, że ona szybko przedziergnie się ze ślicznej dziewczynki w również piękną, ale dojrzałą kobietę. Potrzeba było na to jednego wypadku, któryby jej uczucie zmroził swym chłodem lub doprowadził do wybuchu swym żarem.

— Co stryj ma przeciw niemu?—pytała natarczywie.

— Nic—odrzekł prezes—dopóki go nie nazywasz przystojnym, miłym, zajmującym...

— W czemże się mylę?

— Naprzód dla twojego gustu powinien być za stary, powtóre w obejściu się jest szorstki, a potrzecie—nudny. Gdyby ta pani, przy której on teraz siedzi, tak mówiła o nim, rozumiałbym, ale ty...

— Ale ja jestem również kobietą i mam oczy, których stryj nie posiada.

— O nie wątpię—roześmiał się prezes—daleko ładniejsze.

— Przedewszystkiem inne. Co ja widzę w mężczyźnie, tego stryj nigdy nie dojrzy.

— Przydałby ci się nieraz mój wzrok.

Prezes, który usiłował zniechęcić bratanicę do członka klubu na podstawie wiadomości tajemnych, rzeczywiście dopuszczał się pewnego wiarołomstwa, ale był usprawiedliwiony. Owa bowiem bratanica była jego naturalną córką, co wyznał w swej spowiedzi piśmiennej, a co starannie ukrył przed światem. I jeżeli w swej przemowie do towarzyszów zapewniał, że jest wolnym od wszelkich związków, któreby na wyjaśnieniu tajemnic jego życia ucierpieć mogły, to nie kłamał tylko formalnie. Iza Radek bowiem nie wiedziała, że on był jej ojcem, ale on o tem nie zapomniał nigdy, wychował ją od dzieciństwa, kochał serdecznie, a gdy niedawno wróciła z Anglii, gdzie się kształciła, doszedłszy do odpowiedniego wieku, miał zamiar ją adoptować i oddać jej po śmierci cały swój majątek. Przywiązany był do niej zawsze, ale teraz, kiedy stanęła przy nim w całym blasku swych wdzięków, rozgorzał ku niej jeszcze większą miłością ojcowską i pragnął jej przyszłość utkać z najświetniejszych promieni szczęścia. Właściwie każdy młody mężczyzna, który zwracał się do jego córki, rzucał według niego na tę przyszłość cień, ale Urbin raził go bardziej od innych, bo był dlań zu-

kilka. Wówczas snadź powstały trzy jej dzieła, niestety zatracone: komentarz do traktatu o ciałach stożkowych Apoloniusza, opracowanie arytmetyki Diofantesa i kanon astronomiczny: tablica ruchów gwiazd. Zajmując się głównie algebrą, geometryą i astronomią, wynalazła płaskokulę (planosphère) i gwiazdobiór (astrolabe).

Z mądrością Hypatyi szła w parze piękność i sława. Wielbione jej wymowę, wynoszono głos, ze wszech stron świata śpieszono na lekcye. Wystarczało na liście, pisanym do niej, położyć: „filozofce," albo „Muzie aleksandryjskiej," aby list doszedł. Była czczoną i podziwianą, chrześcianin Synezyusz, późniejszy biskup Ptolemaidy, w listach swych — jedynych niemal źródłach do jej żywota — nazywają ją „świętą i drogą bóstwu," „przewodniczką w tajnikach filozofji," swą „dobrodziejką, mistrzem, siostrą i matką."

Lecz do przyszłych wieków nie przeszedł ani jeden jej obraz, posąg, medal. A śmierć tragiczna jest ogólnie znaną. W marcu 415 r. tłum, poduszczony przez mnichów, wiedziony przez lektora Piotra, zerwał dobiegającą czterdziestu lat kobietę z wozu, zawlókł do Cezarei, kościoła Cezara, i tam, zdarłszy szaty, ukamienował. Poszarpane członki zostały spalone na Cinaronie, miejscu tracenia złoczyńców. Ciemne, straszne stulecia średniowieczne nadciągały jak stada kruków...

Wiek osiemnasty wpisał w dzieje matematyki Emilię Châtelet, Maryę Agnesi i Zofię Germain.

Nie wiadomo, w jaki sposób — opowiada biograf pierwszej — dostał się do zamku pana Breteuila, ojca Emilii, drewniany cyrkiel z dużą głową. Przystrojono go w suknie i dano jako lalkę dziewczynce. Ale ta, obejrzawszy zabawkę, poczęła obierać ją ze stroju, zdarła sukienki i po kilku chwilach odgadnąwszy użytek, jęła nią kreślić figury geometryczne.

Dziadek jej, Mézières, udzielił jej zasad matematyki. W dziewiętnastym roku życia poślubiła margr. Châtelet-Laumonta; odtąd oddała się wyłącznie wiedzy. Jak donosi jej towarzyszka, pani Denis, pracowała nietylko we dnie, ale i nocą i kładła się spać o piątej, szóstej rano. Wieczór spędzała na pogawędce, najczęściej z Voltairem, goszczącym chętnie w zamku jej męża. Jeden z jego wierszy opisuje „astronomiczną Emilię," schodzącą o zmroku „ze swego punktu przysłonecznego" w czarnym, starym fartuchu, z ręką zbrukaną atramentem, lecz bez kompasu już, rachunków i okularów.

Pierwsza jej praca, *Memoryał o ogniu*, powstała dzięki konkursowi, ogłoszonemu przez akademię. Nagrodę otrzymał Euler, studyum jednak pani Châtelet zostało chlubnie wymienione i wydrukowane w wydawnictwach akademii. Arago wyraża się o niej bardzo pochlebnie. Zaznaczyć należy, iż w jednym z ustępów utalentowana badaczka wypowiedziała tak ważne, dopiero w naszym wieku rozwinięte zdanie o tożsamości przyczyn światła i ciepła.

Druga, *Instytucye fizyczne* — poświęcona jest jej synowi. I tu spotykamy zasadę prowadzącą naprzód. Od Descartes'a i Leibnitza ciągnął się spór o wymiary siły: czy przez iloczyn masy i prędkości czyli ilość ruchu mierzyć siłę, czy też przez iloczyn masy i drugiej potęgi z prędkości? Pierwszego zdania bronili Kartezyusz, Newton, Voltaire, drugiego szkoła Leibnitza i Emilia Châtelet. Jak się okazało, ostatnie odniosło zwycięztwo.

Zmarła jednak przedwcześnie, dając życie córce. Po jej śmierci ukazał się przekład *Zasad* Newtona, dokonany z prawdziwem mistrzowstwem. Tłomaczka dodała jeszcze od siebie cenny komentarz: próbę dowiedzenia zasad Newtona drogą analityczną. Odtworzyła w ten sposób pierwotny tekst wiekopomnego dzieła, bo o ile się zdaje, uczony angielski dowiódł swych zasad najpierw za pomocą rachunku, a następnie dopiero ubrał dowody swe w suknie geometryczne.

O dziewięć lat młodsza od niej Marya Agnesi urodziła się 16 maja 1718 r. w Medyolanie. Ojciec jej, bogaty i wykształcony, miał 23 dzieci. Wszystkim jednak dał wykształcenie odpowiednie. Marya, wychodząc z dzieciństwa, posiadała siedem języków: łaciński, grecki, hebrajski, niemiecki, włoski, hiszpański i francuski. Początkowo zajmowała się filozofią. Licząc lat 19, broniła w swym salonie 191 tez. Jedna z nich dotyczyła kwestyi studyów kobiecych, ukazała się też w Medyolanie u Malatesty p. n.: *Czy studyowanie wiedzy przystoi kobiecie?*

Z woli ojca zwróciła się potem ku algebrze i geometryi. Najznaczniejszem jej dziełem są *Instytucye analityczne.* Ogłoszone w r. 1748, były przyjęte z największemi pochwałami przez spółczesnych. Wyszedł ich przekład francuski i angielski, a sprawozdawca akademii paryskiej wyraził się o nich w sposób następujący: „Porządek, jasność, dokładność panują we wszystkich częściach utworu. W żadnym dotąd języku nie spotkaliśmy instytucyi analitycznych, mogących prowadzić tak szybko i daleko. Uważamy je za najlepsze i najzupełniejsze dzieło w tym kierunku."

Podróżujący w pierwszej połowie zeszłego wieku Brosses opowiada w swych *Listach włoskich*:

„Donoszę wam o dziwnem zjawisku, oglądanem przezemnie w Medyolanie i wydającem mi się *cosa più stupenda*, niż tum tamtejszy. Wracam od signory Agnesi, o której zamiarze odwiedzenia pisałem. Wprowadzono mię do wielkiego i pięknego mieszkania, gdzie znalazłem trzydzieści osób wszelkich narodowości, a pośrodku na kanapie pannę Agnesi z małą siostrzycką. Jest to dziewczyna ośmnastu do dwudziestu lat, o twarzy bardzo prostej i miłej. Przyniesiono najpierw dużo wody z lodem, co uważałem za dobry znak. Sądziłem bowiem, że idzie tylko o przyjemną rozmowę z panienką. Lecz zamiast tego hrabia Belloni, który mię przyprowadził, mówił po łacinie. Wygłaszał pochwały Maryi. Odpowiedziała bardzo skromnie i zaczęli oboje dysputować o początku źródeł i przyczynach odpływu i przypływu, niekiedy i na nich spotykanych. Rozprawiała ze zdumiewającą biegłością. Potem hrabia Belloni zwrócił się do mnie, prosząc, abym podjął jaką chcę dyskusyę z filozofii i matematyki. Ośmieliłem się, i mówiliśmy o sposobie, w jaki dusza może być dotknięta przedmiotami cielesnymi, następnie o emanacyi światła i o pierwotnych barwach. Loppin rozprawiał z nią o przezroczystości ciał i właściwościach niektórych krzywizn, z czego nic rozumiałem ani słowa".

Lecz smutek zamglił jasny umysł, przepracowanie sprowadziło anemię i rozdrażnienie nerwowe. Marya zaczęła coraz silniej objawiać skłonność do życia w ustroniu. Nastąpiła wreszcie śmierć ojca. Rodzic najbardziej opierał się wdzianiu przez nią szat klasztornych. Teraz będąc wolną, wstąpiła do zakonu Sióstr błękitnych, oddała swe mienie ubogim i zmarła jako ksieni szpitala Trivulzi w roku 1799.

Zofia Germain (1776—1831) winna być zaliczoną do pierwszych badaczów elastyczności. Dzieckiem trzynastoletniem zagłębiła się w „Historyę matematyki" Montucli; opowiadanie o śmierci Archimedesa uderzyło ją najsilniej. Zrozumiała, że nad znikomość życia może wynieść tylko wiedza, i oddała się jej z całym zapałem.

Mimo oporu rodziców trwała przy matematyce. Odepchnięta przez nich, pod-

---

pełnie przejrzystym. Henryk Radek wszakże posiadał silny charakter i zdolność panowania nad sobą; wkrótce więc spostrzegł, że przestąpił linię honoru i postanowił z Izą dalej się nie spierać.

Zresztą Urbin, umówiwszy się z dawną swoją przyjaciółką o spotkanie, powstał i zbliżył się do nich. Był mocno blady, a mdły uśmiech ciągle odrywał się od jego ust, do których przywarł wyraz niesmaku.

— Żałuję bardzo—rzekł—że nie umiem ani grać, ani śpiewać, ani deklamować, ani żadnej innej sztuki rautowej. Zabawiałbym szanowną publiczność, a sobie dał niewinne zajęcie.

— Czy pan się nudzi?—zapytała Iza.

— Niestety—nie.

— Czemuż niestety?

— Człowiek, który się nudzi, nic nie robi, a kto nic nie robi, spełnia mnóstwo cnót negatywnych: nie kradnie, nie oszukuje, nie zabija itd. A to bardzo dużo znaczy.

— Czyż koniecznie musi czynić źle?

— Przekona się pani później w życiu, że na najuboższy pokład złota nie wypada tyle piasku, ile złych czynów ludzkich na dobre. Maszyna do młócenia zboża lub walcowania blachy, młóci zboże lub walcuje blachę, ale jeżeli koło niej bawi się gromada dzieci, które w nią wsuwają ręce lub głowy, to ona z równą siłą je miażdży. Są ludzie okrutne maszyny i są ludzie nieostrożne dzieci.

— Ze słów pańskich rozumiem tylko przerażający ton, który odzywa się również w przestrogach mojego stryja. Co za okropności widzicie panowie w życiu, których ja nawet nie odgaduję! Od powrotu z Anglii słyszę tylko naokoło: strzeż się! Czego?

— Siebie.

— Alež ja sobie niczem nie grożę, ja się kocham, szanuję, jestem dla siebie życzliwa i dobra.

— Wierzę, bo pani jeszcze nie zaczęła się rozdwajać, jesteś młodą płonką, rosnącą i żyjącą tylko jednym pniem bez gałęzi, z których jedna kwitnie i wydaje zdrowe owoce, a drugą zjadają mchy, pleśnie i robaki.

— I ja muszę kiedyś być taką?

— Nie jest to konieczność, ale reguła.

— Jakże się przeciwko niej zabezpieczyć?

— Gdybym znał sposób, to naprzód sambym go zużytkował.

— Pan już się rozszczepił?

— Dawno.

— A te mchy, pleśnie i robaki toczą pana?

— Tak.

— I pan tego nie chciał?

— Nie.

— Ha, ha, ha, to zabawne. A wie pan, czem zabawne? Tem, że panowie uważacie mnie za gąseczkę, której już nie można straszyć kominiarzem, ale można jeszcze upiorem. Pojmuję stryja, bo go do tych strachów zachęca... wolno mi stryjowi powiedzieć? — miłość dla mnie...

— Wolno — wtrącił zadowolony Radek.

— Ale co pana skłania — ciągnęła dalej Iza — do wmawiania we mnie, że szatan osiedlił się w ludzkich duszach i zamówił sobie mieszkanie nawet w mojej?

— O kilkanaście lat wyprzedziłem panią w przyjściu na świat, więcej zatem miałem czasu do obejrzenia go.

— Gdybym tak, jak pan, straciła wiarę w ludzi i w siebie...

— Toby pani, równie jak ja, zwróciła się do jej towarzyszek — nadziei i miłości.

— Ach, więc pan ma jeszcze nadzieję i...

— Tylko nadzieję. Każdy człowiek, niezadowolny lub nieszczęśliwy, oczekuje swojego mesyasza. Otóż i ja wyglądam mojego. Pod jaką postacią on mi się objawi — nie wiem, może będzie to przyjaciel, może mistrz, a może kobieta. Najbardziej pragnąłbym ostatniej. Cierpienia serca bowiem są daleko dotkliwsze, niż cierpienia

czas nocy lodowych, kiedy atrament zamarzał w jej kalamarzu, czytała dzieła Bezouta. Nareszcie wystąpiła z własną pracą. Z polecenia Napoleona, akademia umiejętności w Paryżu ogłosiła konkurs na rozprawę o teoryi drgań płyty elastycznej. Doświadczenia Chladniego w odnośnej kwestyi zaprzątywały wtedy umysły naukowe. Lecz nikt nie odważył się wstąpić w dziedzinę mało badaną. Zofia Germain stanowiła jedyny wyjątek. Niestety, rozprawa była pod kilku względami nierówna. Nie odstraszyło to uczonej, w roku następnym poprawiła swój memoryał i uzyskała wzmiankę zaszczytną, nareszcie rok 1815 przyniósł jej za trzeci już tekst uzupełniony i udoskonalony wielką nagrodę.

Korespondencya młodej francuzki z Gaussem zawiera wiele wybitnych uwag. W *Teoryi liczb* Legendre'a znajduje się jej rozprawa. Nadto *Journal des mathématiques* Crelle'a mieści kilka jej prac.

Podczas wojny Napoleona z Prusami, Zofia, pamiętając zawsze o Archimedesie, drżała o życie Gaussa. Bitwa pod Jeną rzuciła postrach na Niemcy, bezpieczeństwo osobiste nawet wobec wojsk napoleońskich pozostawiało wiele do życzenia. Napisała wówczas gorący list do jednego ze znajomych, generała Pernettiego, oblegającego Wrocław. Generał odłączył od sztabu jednego oficera i umieścił go przy matematyku, w Brunświku.

Rak, toczący pierś, nie wytrącił Zofii Germain z równowagi. Pod groźbą śmierci pracowała wytrwale i zawsze witała życzliwym uśmiechem przyjaciół. Kiedy zgasła, przyjaciele znaleźli gotowy rękopis: „Uwag o literaturze i wiedzy w stosunku do rozmaitych epok.“ Pisarka, jak zauważył Liard, wyprzedziła tu teorye Comte'a, usiłując odnaleźć podstawowe typy wiedzy.

Mary Sommerville (1780—1872) miała życie twarde. Owdowiawszy przy drugiem dziecku, żyła niemal w nędzy. Jednak drugie jej małżeństwo z lekarzem Sommervillem było szczęśliwe. Mąż, człowiek inteligentny, szczerze pomagał żonie w pracy; zwiedzili razem Europę i osiedli we Włoszech. Tu powstały najznaczniejsze dzieła Maryi.

Zasłużyła się przedewszystkiem około dzieł Laplace'a, jak Emila Châtelet około Newtona. Jej *Mechanika niebios* jest do dziś podręcznikiem w uniwersytecie w Cambridge. Inne prace dotyczą fizyki: *Badania chemiczne i magnetyczne słońca*, *Związek sił fizycznych* (1834), *Geografia fizyczna* (1848), *Wiedza drobinowa i mikroskopijna* (1869). W r. 1835 zamianowało ją towarzystwo astronomiczne londyńskie swym członkiem honorowym, nieco później królowa wyznaczyła jej pensyę trzysta funtów szterlingów.

Nareszcie życie Zofii z Korwin-Krukowskich Kowalewskiej. Urodziła się w Moskwie 1850 r. z rodziny, wyprowadzającej pochodzenie od Macieja Korwina, króla Węgier. Matka była córką generała Schuberta, matematyka i topografa, wnuczką astronoma tegoż imienia.

Do piętnastu lat żyła w wiosce Palibino. Niejaki Malewicz wyłożył jej pierwsze zasady matematyki. Pewnego razu oklejano dwór ojczysty; na izbę dziecinną zabrakło tapet. Więc użyto zeszytów matematycznych ojca z czasów studenckich. Mała Zosia chętnie przyglądała się hieroglifom liczebnym i — rzecz dziwna — mówi w swych pamiętnikach—gdy w szesnastym roku zaczęłam uczyć się rachunku różniczkowego, mój nauczyciel nie mógł nadziwić się moim postępom. Sądzę, że oglądane na ścianach znaki i formuły wbiły się tak żywo w mój umysł, że niewiele potrzeba było do ich odświeżenia.

Poślubienie Kowalewskiego tylko dla umożebnienia sobie wyjazdu do Heidelberga było może najfatalniejszym krokiem w życiu kobiety. Rozdźwięk zakrada się w jej dni i coraz szaleniej mąci spokój. W r. 1883 Kowalewski odbiera sobie życie, a uniwersytet sztokholmski za pośrednictwem profesora Mittag-Lefflera powołuje wdowę na katedrę wyższej matematyki.

Gdy najmocniej ból serce ściskał, Zofia brała za pióro. Pozostawiła: *Wspomnienia z dzieciństwa*, *Wspomnienia o George Eliocie*, tęskno *Vae victis*, *Rodzinę Woroncowów*, *Walkę o szczęście* i kilka dzieł innych. Prac jej matematycznych jest pięć: dwie z czystej matematyki, jedna z astronomii (*O pierścieniach Saturna*), dwie z fizyki. Pierwsza traktuje o rozprzestrzenianiu się światłu w środowisku krystalicznem, druga—ostatnia—o teoryi ruchu ciał stałych. Z powodu tej to wyraził się Darboux, że imię pani Kowalewskiej winno stanąć obok imion Eulera i Lagrange'a.

W r. 1890 spędziła zimę w południowej Francyi. Około lutego 1891 wróciła do Szwecyi, aby rozpocząć wykłady. Lecz po pierwszej lekcyi zaziębiła się ciężko i w kilkanaście godzin zapalenie opłucnej zabiło ją. Nocą, kiedy kończyła, budzono śpiesznie jej córeczkę Zosię, zmorzoną snem po zabawie, w której brała udział. Wzrok matki zawisł na dziecku, ale nim wytrzeźwiło się zupełnie, na kochających oczach leżała już mgła śmierci.

W. Bugiel.

NOWE SŁOWKA

(z powodu nowej książki).

II.

W styczniowym lub lutowym zeszycie paryskiego „Przeglądu przeglądów“ spotykamy niewielką pracę Ferrera: „La neurose parlamentaire.“ Okazuje się, iż całe ciało prawodawcze — Izby francuska i włoska — podczas rozpraw nad panamą i panaminem dotknięte były jedną drgawką nerwową: krzyczano, bito się, wygrażano, na obraz i podobieństwo nerwowców. Po kilku burzliwych posiedzeniach, wielu deputowanych uskarżało się na ból głowy, na niezdolność do usilnej pracy, na niechęć opanowującą ich przy roztrząsaniu ustawy o olejkach mineralnych.

Newroza zbiorowa: coś w rodzaju opętanego tłumu średniowiecznego! Deputowany w domu, deputowany w kawiarni, na łonie legalnej i nielegalnej rodziny—to zrównoważony i dystyngowany człowiek, lecz deputowani w izbie, tj. cała idealna jednostka prawna — to nerwowcy, którzy bodaj czy nie będą postawieni przez jakiegoś Cullerre'a u wrót Salpêtrière.

Mamy więc nowy objaw zwyrodnienia, bo, oczywiście, według Ferrera, ciało prawodawcze byłoby zupełnie zdrowe, gdyby ci ludzie najrozmaitszych temperamentów, najsprzeczniejszych dążeń politycznych i rozlicznej umysłowości zachowywali ten sam spokój wobec złodziejstwa uprzywilejowanych geszefciarzy, jak wobec ustawy o olejkach.

Oto przykład naukowego daltonizmu, który w swoich spostrzeżeniach niewiele się różni od znawstwa jakiejś kumoszki, orzekającej, że ból zęba „to nerwowe.“

Czem czuje, czem słyszy, czem widzi Ferrero lub Maks Nordau?— czy nie nerwami? — zapytujemy jak Schylok. W owem wielkiem „zwyrodnieniu“ Nordau widzi okiem człowieka, który naraz, z dobrze oświetlonego gabinetu wyszedł do ciemnego boru: i noc nie taka znowu ciemna, i bór nie jest stuwłókową puszczą dziewiczą, lecz przez długi czas wzrok z trudem wielkim przeszywa mroczną dokoła ciem-

---

mózgu; te zaś leczy nieraz mężczyzna, tamte zawsze kobieta. Naturalnie taka, która jest do tego zdolna i powołana. Ponieważ jest to objaw dość częsty i nie należy do owych wysokich szczytów, na których przebywa muza historyi, więc ludzie spospospolitowali go. A jednakże jest to cud, daleko większy, niż uzdrowienie trędowatego. Bo czyż to nie dziwne, gdy człowiek, przykładając usta do najrozmaitszych źródeł życia, wypił z nich tylko gorycz; gdy przeszedłszy przez szereg związków i stosunków z innymi ludźmi, tylko ich znienawidził, wzgardził lub co najwyżej na zimno zważył, nagle pod czarodziejskim wpływem jakiejś nieznanej mu przedtem kobiety, często prostej dzieweczki, odradza się, przeistacza, uczuwa podziw dla swego otoczenia, a szacunek i przyjaźń dla tych nawet, którymi poniewierał. Czyż to nie cud?

Przy tych słowach Radek poruszał się niespokojnie, a Iza milczała, utkwiwszy swoje rozszerzone, czarne źrenice w Urbina, który prawił dalej:

— Bakteryj nic niszczy tak skutecznie ani woda, ani środki dezinfekcyjne, jak ogień. Dla człowieka, który ma w duszy bakterye moralne, rozum jest wodą, moraly — środkami dezinfekcyjnymi, a dopiero wielkie uczucie — ogniem. Nas wszystkich chorych duchowo może oczyścić i uzdrowić tylko taki ogień.

Zamilkł. Iza jeszcze przez chwilę patrzyła na niego, wreszcie rzekła zamyślona:

— Więc pan ma nadzieję, że pana on uleczy?

— Tak.

— A mnie się zdaje — rzekł z pewnem rozdrażnieniem Radek — że pan przez całe życie będziesz pocierał o swoje serce zapałki i to będzie cały pański ogień.

— Dlaczego panu tak się zdaje? — zapytał surowo Urbin.

— Bo o kilkanaście lat wcześniej od pana na świat przyszedłem — odparł Radek z przymuszonym uśmiechem.

— Zwracam panu uwagę, że mnie wtedy jeszcze na świecie nie było, więc pan nie mogłeś mnie studyować.

Zaproszenie do kolacyi przecięło rozmowę w drażliwym punkcie. Radek usiadł przy córce, Urbin zdaleka. Znalazłszy się między dwoma starymi żarłokami, mógł rozmyślać swobodnie. Uprzytomnił on sobie jasno dwa fakty: pierwszy, że Radek, znający tajemnice jego życia, usiłuje mu przegrodzić drogę do córki, i drugi — że Iza rzuciła na niego silny urok. Zachodziły więc dwa pytania: czy w Radku zwycięży prezes klubu, czy też ojciec, oraz czy on powinien skazywać go na tę walkę i boleść? A jeżeli Iza będzie moją zbawicielką? — mówił do siebie. Jeżeli ją pokocham a miłość mnie oczyści? A gdyby ona była dla serca mojego tylko zapałką?

— Pan dobrodziej słyszał — skrzypnął jeden z nasyconych już staruszków — że Totkiewicz się żeni?

— Nie — bąknął Urbin.

— W tym wieku, mając dorosłe dzieci... pfe!

— Czemuż mu szanowny pan nie poradził, ażeby dla zadośćuczynienia moralności i niegorszenia dzieci wziął sobie raczej metresę?

Staruszek spojrzał na niego zezem i zamilkł.

Tego wieczora Urbin nie zbliżył się więcej do Izy.

(D. n.).

nię. Cóż łatwiejszego, niż przyjąć wtedy krzak nieznaczny za czyhającego na ofiarę opryszka, gałąź suchą za groźnie napięte ramię?

Nordau też wchodził w ten zaczarowany las pogmatwanych zjawisk społecznych z obawą, jakiej mu napędziła cała współczesna psychopatologia — nie zbrojny w zasoby wiedzy ekonomicznej, z latarką błyskotliwego dowcipu i fejletonowej dyalektyki. Więc wszystko, poczynając od naszego ubioru a kończąc na piśmiennictwie i sztuce, wydało mu się tonącem w pomroce zwyrodnienia.

Po przeczytaniu tej książki trudno otrząsnąć się z jednej refleksyi: jeżeli zwyrodnienie polega na ściganiu każdej myśli i każdego obrazu do wyssania z nich ostatniej kropli krwi zdrowej i do otrzymania już samej tylko formy, — to książka Nordaua jest właśnie wybitnym objawem tego zwyrodnienia.

W tej usilnej dążności do wybudowania nad czołem współczesnego społeczeństwa jednej dachówki szpitalnej, tkwi wielka niedokładność logiczna, polegająca na uogólnianiu cech współrzędnych wskutek niezrozumienia całej wielorakości typów klasowych.

W mniejszym stylu — bo naśladowniczo — popełnia ten sam błąd filister, gdy na widok powtarzającej się *von vorne und hinten* gazeli *Kuryerkowego* poety, mówi o dekadentach, a wobec tyrady zarozumiałego samoluba i nieuka o „nadczłowieku.“

Lecz mamy i inną literaturę, która do tegoż jałowego celu dochodzi boczną ścieżką, roszcząc sobie również pretensye do miana nauki.

Jest to rodzaj glos, ukazujących się w miarę nagromadzenia naukowego materyału lichych acz mozolnych niekiedy kompilacyj, przylepiających głośne etykiety do gotowych preparatów.

Do tej kategoryi należy książka, która wywołała powyższe refleksye — „Zarazek zabójstwa“ (*La contagion du meurtre* par Paul Ambry, wyd. 2-ie, 1894. Paryż).

„Objaw chorobliwej psychologii, który ma być treścią pracy niniejszej, nie jest prostem naśladowaniem lub tylko suggestyą, chociaż są one tu niewątpliwie współczynnikami. Jest to zlepek, kombinacya czterech pierwiastków: suggestyi, naśladowania, dziedziczności i infekcyi.“

Definicya ta, którą autor nam daje na samym wstępie swojej pracy, drażniąc krytyczny zmysł czytelnika, wytwarza już pewne wątpliwości co do tego, jak sobie pocznie autor z tem zawiłem zagadnieniem: czy będzie mógł przeprowadzić granicę między naśladowaniem, poddaniem zabójstwa i jego infekcyą i — czy wogóle taka granica istnieje. Uprzedzając możliwe zarzuty, jakoby w książce była mowa o niepoczytalności dotkniętych zarazą, autor oznajmia, iż nie wszelkie zabójstwa pochodzą z zakażenia. Widzimy więc, że analogia zarazku, przeniesiona z gruntu mikro-biologicznego na psychologiczny, nie może być zaszczepioną całkowicie, lubo na tej samej stronicy następuje określenie zakażenia (infekcyi) zabójstwa, jako procesu, przez który idea zabójstwa opanowuje lub dotyka jednostkę, najczęściej do tego usposobioną.

Dalej mamy podział pracy na trzy naczelne części: więc w pierwszej rozpoznawane są główne ogniska zarazy: rodzina, więzienie, egzekucye i literatura kryminalistyczna; w drugiej — infekcya w poszczególnych jej objawach: zabójstwo przez witryol, otrucie, oszpecenie, pojedynek i samobójstwo. Co do tej części, autor wyraźnie zastrzega, iż zmysł naśladowczy zastępuje tu infekcyę. Wreszcie trzecia część zajmuje się badaniem epidemij i endemij zabójstwa (anarchizm i zabójstwa na Korsyce).

Przystępując do czytania, napotykamy na piętrzące się nawzajem Peliony i Ossy faktów, znanych z podręczników psychiatryi i prawa karnego, lecz nie widzimy, aby autor bodaj z daleka sięgał tak wysoko zakreślonego sobie celu; przeciwnie, im dalej, tem staje się widoczniejszem, że cała oryginalność tej książki polega na tytule, na owym zarazku, który może być tak dobrze suggestyą, atawizmem, jak i wpływem ekonomicznego ustroju, zupełnie ignorowanym przez autora w szeregu czynników zbrodni.

Naprzekór przytoczonej wyżej definicyi, wysnuwa Aubry z nawiązanych przez się faktów tylko jeden mniej lub więcej wybitny pierwiastek zarazka — więc gdy np. matka popycha nieletniego syna do ojcobójstwa — to ma miejsce suggestya, gdy widok egzekucyi zapłodnił w wyobraźni delinkwenta myśl zbrodniczą—to naśladowanie, a gdy ta sama myśl kiełkuje na skutek rozczytywania się w romansidłach kryminalnych — to już prawdziwa infekcya. Tem niemniej każdy rozdział zapewnia czytelnika, jakoby w przytoczonych zabójstwach tkwił pierwiastek zarazy.

W rozdziałach, poświęconych epidemiom i endemiom, w których — jak to zapowiada autor we wstępie — infekcya ma wystąpić przed czytelnikiem w całym swoim blasku (dans tout son éclat) — znajdujemy pogląd na anarchizm, jako na partyę polityczną, oraz protokół anarchistycznych i nieanarchistycznych atentatów, mających świadczyć o zarazku; z endemią zaś zabójstwa na Korsyce, która byłaby nader ciekawą z punktu widzenia antropologicznego, załatwił się autor bardzo pobieżnie, cytując tylko fakty, chociaż pracę swoją uważa za „studyum antropologiczne,“ wreszcie zupełnie niestosownemi są napaście na włochów i na Crispiego, oraz mieszczańskie wyznanie wiary w apostrofie, iż „biedni zawsze będą na tej ziemi.“

Paradoksalność bije tutaj z każdej stronicy. Wszędy upatrywana jest zaraza, zarówno w pojedyńczych wypadkach zabójstwa, jak i w masowych ruchach zbrodniczych. Braną jest pod uwagę tylko jedna, czysto formalna ich strona, tj. w pierwszym razie stosunek zbrodni do poprzedniej podobnej, w drugim zaś — tylko prawo bezwładności, kierujące masami, czyli koordynacya odruchów masowych. Prądy, napinające powoli energię mas bezwładnych — głębsze podrażnienia i impulsy — cała atmosfera instytucyj społecznych, którą oddycha zarówno jednostka jak i masa — wszystko to zostało pominięte. Człowiek rozpatrywany jest po za swojem środowiskiem, postawiony za nawias, jak warunkowy znak algebraiczny. Z faktu, iż po zbrodni a następuje zbrodnia b — autor wyprowadza tylko wniosek o zarazku, nie pojmując, jak w danym czasie i w danem miejscu jednakowe przyczyny sprowadzają te same skutki.

Szczegółowe streszczenie tej pracy, mającej li tylko znaczenie zbiorowiska porozrzucanych faktów, byłoby przesuwaniem przed okiem czytelnika tych samych szkiełek kolorowych w kilku układach. To też na tych słowach poprzestaniemy.

Tak tedy nowem słówkiem, nie przez się nie mówiącem, chcą nam błysnąć w oczy, jak dziecku skrawkiem papieru.

A potem pójdzie to słówko w świat i usłyszymy jego odgłosy: zaraza! zaraza! Po kilku zaś latach znajdzie się nowy glosator, który wziąwszy „Zarazek zabójstwa“ i wrzuciwszy jeszcze do tygla nowe podręczniki i archiwa spraw sądowych, odleje z tej gęstej masy nowe antropologiczne studyum: „Nieuleczalność zbrodni.“ Do naszego zmanierowanego słownictwa przybędzie wtedy nowy wyraz, nowe nasienie paradoksu.

Grzegorz Glass.

NOWE LECZENIE DYFTERYTU.

Otwarty w Budapeszcie w pierwszych dniach września ósmy kongres międzynarodowy hygieny i demografii zalicza się do najświetniejszych. Przeszło dwa tysiące lekarzy wzięło w nim udział, a na liście zapisanych było osiemset referatów.

Wogóle wszystkie kongresy, odbywane w Budapeszcie, cieszą się wielkiem powodzeniem. Przyczynia się do tego niemało wielka gościnność i uprzejmość stolicy Węgier dla cudzoziemców, lecz prócz tego ze stanowiska tej właśnie nauki przedstawia on niezwykły widok: w r. 1810 miasto to posiadało zaledwie 60,000 mieszkańców, dziś ma ich przeszło 500,000; liczba zaś urodzeń jest niezwykle wielka, tak, że pod tym względem Budapeszt z Warszawą, Hamburgiem, Liwerpoolem i Wiedniem zajmuje pierwsze miejsce na świecie. Co zaś do hygieny, to przytoczyć warto, że w r. 1874 posiadał on w Europie największą śmiertelność (45 na 1000), która obecnie zmniejszyła się o połowę. Świetny ten rezultat zawdzięczają Węgry doskonałemu urządzeniu kanalizacyi i dostarczaniu mieszkańcom czystej wody do picia.

Śród poruszanych kwestyj niezwykłe zainteresowanie wzbudził komunikat d-ra Roux z instytutu Pasteura. Dzięki obfitości danych statystycznych, dostarczonych przez znakomitego bakteryologa, można mieć nadzieję, iż na razie wynaleziony został nowy i skuteczny sposób leczenia dyfterytu. Jak wiadomo, jest to choroba zaraźliwa, polegająca na tworzeniu się białych, chorobliwych błon w przełyku; zawierają one mikroba niezwykłej jadowitości, który rozmnażając się z wielką szybkością, zatruwa organizm sobą i swemi wydzielinami. Te same błony, rozrastając się, wytwarzają dyfteryt krtani, czyli krup. Dyfteryt zalicza się do najgroźniejszych chorób wieku dziecinnego i corocznie zabiera tysiące dziatwy, na równi z zapaleniem płuc i suchotami. Dotychczas nie znano skutecznego środka dla zażegnania tej okrutnej klęski. Obecnie, dzięki znajomości mikrobów i szczepienia, szkoła Pasteura doszła wreszcie do racyonalnej metody leczniczej.

Pasteur oddawna szczepi wściekliznę, karbunkuł i inne zarazy. Behring i Katasato ze szkoły berlińskiej szczepili dyfteryt i tężec, wstrzykując chorym osobom surowicę (serum) zwierząt, obdarzonych odpornością na te choroby; odporność ta wytworzona została w sposób sztuczny, według metody dr. Roux. Metodę tę nazwać można *szczepieniem chemicznem*, gdyż w tym wypadku nie wprowadza się mikrobów żyjących. Aby uczynić zwierzęta odpornemi, zaczyna się od hodowania bakteryj dyfterytu w bulionie przy 37° ciepła. Rozmnażając się, produkują one ogromną ilość trucizn, zwanych *toksynami*. Otóż owe toksyny, wydobyte z kultury mikrobowej, nie zawierają już wcale ciałek żyjących, są więc produktem chemicznym, nieuorganizowanym; posiadają one w wysokim stopniu własności trujące; świnka morska ginie po 48 godzinach, jeśli wstrzyknąć jej dziesiątą część centymetra sześciennego tych toksyn.

Wprowadzone do krwi nie mogą się zatem rozmnażać jak istoty żyjące, lecz działają odpowiednio do dawki; można więc zastrzyknąć tak małe ich ilości, iż nie wywołają śmierci, tylko chwilowe otrucie, a powiększając wciąż dozy, można przyzwyczaić zwierzęta do nich. Wiadomo, iż człowiek przyzwyczaja się do znoszenia coraz większych ilości morfiny i innych trucizn. Behring pierwszy zauważył, iż zwierzęta, poddawane przez długi czas wstrzykiwaniu toksyn, posiadają krew, będącą prawdziwem antydotum przeciwko dyfte-

rytowi. Powziął więc myśl, aby osobom, dotkniętym tą chorobą, wstrzykiwać surowicę zwierząt odpornych na działanie dyfterytu. W ten sposób powstała *seroterapia*. Behring próbował jej na znacznej liczbie dzieci i otrzymał śmiertelność o połowę mniejszą, niż w zwykłych wypadkach. Spotkał się jednak z licznymi zarzutami, iż miał do czynienia z epidemią o przebiegu nadzwyczaj łagodnym. Świat lekarski pozostawał więc w niepewności. Dopiero ostatnie poszukiwania na tem polu, dokonane przez dr. Roux, usuwają wątpliwości co do istotnej wartości nowej metody.

Przedewszystkiem dr. Roux sprawdził szczegółowo, jaka dotychczas śmiertelność panowała w szpitalach paryskich pod względem dyfterytu, i doszedł do przekonania, iż w przeciągu ostatnich lat w szpitalu *Enfants malades* zapadło na tę chorobę 2,000 dzieci, z których połowa zmarła. Od 1 lutego do 24 lipca 1894 r., dzięki seroterapii, śmiertelność wynosiła tylko 24%. Czyż nie cudowny rezultat? Połowę dzieci uratowano od śmierci. Lecz Roux nie zadowolił się tymi wynikami i zebrał dane w drugim szpitalu dziecinnym; mianowicie w *Trousseau* śmiertelność wynosiła 60%, a przy leczeniu seroterapią spadła do 26%. Liczba ta znacznie się jeszcze zmniejszy, gdy zwrócimy uwagę, iż wśród zmarłych dzieci dość znaczna ilość posiadała prócz dyfterytu i inne jeszcze choroby, jak suchoty, zapalenie płuc, zakażenie krwi, które prawdopodobnie śmierć spowodowały, tak iż Roux dochodzi do przekonania, iż dyfteryt, bez domieszki innych chorób, prawie zawsze ustępuje przez wstrzykiwanie surowicy. Zapomocą niej również uleczony bywa krup, lecz tu rezultaty nie są tak świetne, jak przy dyfterycie, gdyż mechaniczne zatkanie krtani zabija chorego, nim jeszcze organizm zatruty zostanie bakteryami. Jeśli mikrob Löfflera (czyli dyfterytu) pomieszany jest z innymi zarazkami, np. streptokokami lub stafylokokami, wówczas widoki wyzdrowienia są daleko mniejsze; pomimo wstrzykiwań i tracheotomii, śmiertelność wynosi w tym razie 57%. Ale bez wstrzykiwań stwierdzono 80% śmiertelności. Co zaś do dyfterytu bez krupu, gdy jest połączony z zarazkami gnicia, śmiertelność dawniej wynosiła 87%, obecnie spadła do 25%.

Zatem w wypadku dyfterytu lub krupu należy wstrzyknąć choremu pod skórę 20 centymetrów sześc. odpowiedniej surowicy. Wstrzyknięcie samo przez się jest całkiem niewinne i nigdy zaszkodzić nie może, a wykonywane być winno codziennie lub co drugi dzień. Dotychczas tylko instytut Pasteura wyrabia ten cenny płyn; niezadługo zapewne zjawi się on w aptekach. Roux używa w tym celu prawie wyłącznie koni, gdyż zwierzęciu temu można często krew puszczać bez żadnej szkody dla zdrowia, a nadto krew końska krzepnie nadzwyczaj powoli, oddzielając wyraźnie serum od części stałych.

Przy tej metodzie zaleca Roux co najwyżej przemywanie gardła kwasem bornym lub wodą gorącą, ale sprzeciwia się całkiem używaniu sublimatu, kwasu karbolowego i substancyj gryzących, które tylko dołączają nową truciznę do istniejących w organizmie. *J. Jot.*

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z GALICYI.

(Dokończenie).

Dopiero w roku 1861-ym dowiedział się świat naukowy, iż sól potażowa, zwana sylwinem, znajduje się nietylko w Strasfurcie pod Magdeburgiem, ale także w Kałuszu. Wskutek tego stanęła tam huta do przeróbki surowych soli potażowych. Fabryka nasza wyrabiała towar przedni, wyborowy, i sole kałuskie bywały na targach notowane „o 5—6% wyżej od fabrykatów strasfurckich," a pomimo to konkurencyi wytrzymać nie mogły. Jakoż w r. 1875 Towarzystwo akcyjne runęło i nastąpiła likwidacya przedsiębiorstwa. Od tej chwili nie myślało państwo wcale o eksploatacyi sylwinu i kainitu, a przemysłowcy prywatni, odstraszeni gwałtowną likwidacyą pierwszego przedsiębiorstwa, nie śpieszyli się wcale z propozycyaami do ministeryum skarbu. Dopiero wskutek starań sejmu galicyjskiego i delegacyi polskiej w Wiedniu, podjął rząd w r. 1887 napowrót wydobywanie kainitu, którego wartość nie dosięga 30 tysięcy złr.

Galicyjskie pokłady węglowe pod względem swego obszaru, jako też ekonomicznego znaczenia, nie mogą iść w porównanie z obszarami węglonośnymi Królestwa i Szląska pruskiego, przewyższającymi je w każdym kierunku. Jako jedyne wszakże w Galicyi, zawierające węgiel czarny, mają wartość krajową. Dziś istnieje w Galicyi 10 przedsiębiorstw kupalni węgla kamiennego, a największem jest jaworzyńskie, dobywające rocznie 4 miliony cent. metr. Przedsiębiorstwa te zatrudniają 2,000 robotników. Jak małą jest roczna produkcya węgla w Galicyi w porównaniu z czeską lub szląską, świadczą następujące cyfry: Galicya produkuje 6,3 milionów k. węgla, Czechy 37,8, a Szląsk 36,9.

Na całej prawie przestrzeni Karpat galicyjskich spotykamy rudy żelazne; niezbyt bogate wprawdzie, były jednak na wielu punktach przedmiotem kwitnącego górnictwa, póki drzewa opałowego z trudno dostępnych lasów nie było można inaczej zużytkować, tylko w fabrykach lub hutach, na miejscu będących. Z chwilą, kiedy wartość lasów wskutek otwarcia nowych linij kolejowych i dróg, zwiększonego wywozu materyału budulcowego do Niemiec, oraz powstania nieznanych dawniej gałęzi przemysłu drzewnego, zwiększyła się wielokrotnie, upadła też główna podstawa tego krajowego górnictwa, którego jedynym dzisiaj przedstawicielem są zakłady hutnicze arcyksięcia Albrechta w Górce, na południe od Żywca.

Ważną pod względem ekonomicznym jest dla Galicyi produkcya rudy cynkowej i cynku. Okrąg krakowski zawiera w pokładach formacyi tryasowej tę najcenniejszą ze wszystkich rud krajowych, które są przedmiotem dawnej i rozległej pracy górniczej; ich wartość ekonomiczna stawia Galicyę na pierwszem miejscu wśród innych prowincyj Austryi. Cynk nasz jest materyałem wywozowym w ścisłem znaczeniu tego słowa. Dostaje się przeważnie przez Wiedeń do zachodnich dzielnic Austryi, a nawet mała część wychodzi za granicę.

Produkcya siarki w Galicyi należy już dzisiaj do historyi. W roku 1884 po raz ostatni wytwarzała rządowa huta w Swoszowicach 899 k. siarki, i od tego czasu ta jedyna od wielu wieków czynna kopalnia rudy siarczanej już nie istnieje. Olbrzymio wzrastający dowóz siarki włoskiej z kopalń sycylijskich, pomimo kosztów przewozu sprzedawanej na targach austryackich o wiele taniej od produktu galicyjskiego, zabił tę gałąź górnictwa u nas.

Początek górnictwa wosku ziemnego w Borysławiu sięga roku 1852. Od tego czasu wykonano na przestrzeni około 150 hektarów przeszło 13,000 szybów, z których ledwie szósta część zachowała się dotąd. Stosunki w Borysławiu, których żadną miarą nie można było ująć w pewne ściślejsze karby, uległy zmianie z chwilą wykupienia mniejszych przedsiębiorstw przez Bank kredytowy we Lwowie. Drugim wielkim przedsiębiorcą jest tam Towarzystwo francuskie pod firmą „Compagnie commerciale française." Produkcya wosku ziemnego jest obecnie znacznie mniejsza, niż w początkach. W r. 1873 wynosiła ona 196,000 k. przy cenie 25 złr., w r. 1892 tylko 56,376 k. przy cenie 27 złr. 53 cent. za 100 kilog.

Surowy wosk, tak borysławski, jak z okolic Bohorodczan, po oczyszczeniu go na miejscu za pomocą sit i przetaków, przetapia się w topiarniach i urabia w bloki handlowe, wagi około 50 klg. Taki materyał handlowy służy do przeróbki chemicznej na parafinę i cezerynę, albo też wywożą go za granicę; znaczna część idzie do fabryk w Królestwie Polskiem. Przy wosku ziemnym w Galicyi zajętych było w r. 1892 ogółem 5,039 robotników (o 1,244 mniej, niż w roku poprzednim).

W produkcyi nafty i wosku ziemnego na obu półkulach świata, zajmuje Galicya trzecie po Ameryce i Kaukazie miejsce, produkując obojga przeszło milion centnarów m., wartości 5 milionów złr. Rozwinął się ten ruch z drobnego przemysłu naftowego, którego początki sięgają roku 1852 (w tym bowiem roku po raz pierwszy nafta, którą wynalazca lampy naftowej, Ignacy Łukasiewicz, uzyskał z ropy, dostarczonej z Borysławia przez Abrahama Schreinera, była użytą do oświetlenia krajowego szpitala we Lwowie.)

Równocześnie obniża się ilość nafty przywożonej z za granicy. Rozwój dystylarni naszych odbył się przeważnie pod wpływem przywozu sztucznego surowca, czyli falsyfikatu kaukaskiego (mieszaniny 90% nafty destylowanej i 10% smoły, potrzebnej do zabarwienia dostatecznego, ażeby komora austryacka przyjęła falsyfikat za surowiec prawdziwy).

Pomimo tej nieuczciwej konkurencyi przemysł galicyjski przetrwał próbę ogniową. Produkcya surowca wzmogła się z 300,000 k. w r. 1883 na milion k. w r. 1893. Z każdym rokiem powiększa się udział Galicyi w zaopatrywaniu monarchii naftą, bo podczas kiedy w r. 1883 dostarczała ona tylko 26% całej konsumcyi, dostarcza obecnie przeszło połowy.

Znaną jest z prac Rutowskiego historya naszego przemysłu, jego upadku, systematycznego ucisku wszelkich usiłowań ku podniesieniu jego w czasach, kiedy to Galicyę usiłowano zepchnąć do rzędu kolonij, opłacających haracz przemysłowy zachodnim krajom austryackim—słynna owa historya stempla wiedeńskiego na wytwory galicyjskie. Obecnie rozróżniamy trzy typy czyli kategorye przemysłowego zajęcia. Pierwszym i najszerzej dziś jeszcze w kraju istniejącym, jest starodawny przemysł domowy, przeważnie włościański, często zimą dokonywany, głównie jako zajęcie uboczne. Do dziś jeszcze wyroby, służące do zaspokojenia codziennych potrzeb 5-milionowej ludności włościańskiej naszego kraju, przeważnie są dziełem jej rąk własnych.

Z okolic odległych od środowisk miejskich, od dróg żelaznych, cały strój włościański, całe urządzenie domu, przedmioty zbytku i dobytku, wszystko to prastarym sposobem wykonywa pracowita dłoń wieśniaka, przyozdabia jego fantazya. Więc przedewszystkiem urosło stąd jako przemysł domowy tkactwo, z całym zasobem ornamentu haftów, dalej wyroby w skórze i futrach, prześliczne kilimki, roboty garncarskie i t. p.

Dwie najpokaźniejsze gałęzie przemysłu fabrycznego, tkacka i żelazna, są u nas w pieluchach, cały zaś szewcki jest dotąd drobnem rzemiosłem samoistnem lub też przeważnie przemysłem domowym.

Wogóle żyje z przemysłu jedenasta część ludności, podczas gdy w r. 1880 tylko czternasta. Największym warsztatem wytwórczym w naszym kraju jest ziemia pod uprawą rolną. Jak był dawniej, tak

i dziś kraj nasz na całym obszarze pozostał rolniczym, pomimo że stosunkowo znaczna gęstość zaludnienia, pod groźbą coraz większego wzrostu wychodźtwa, każe szukać dla nadmiaru ludności zatrudnienia w przemyśle, pomimo że rozwój zajęć przemysłowych jest niezbędnym warunkiem zużytkowania na korzyść naszą przyrodzonych bogactw kraju, a w szczególności także warunkiem pomyślnego i trwałego rozwoju pracy rolniczej.

Galicya produkuje rocznie 8—10 milionów metrów sześciennych drzewa, spławia je rzekami i wywozi kolejami. Pomimo to jednak należy do krajów najmniej zalesionych w Austryi, a średnio—wogóle. Najpoważniejszym właścicielem lasów jest państwo, drugim z rzędu prywatne osoby, dalej idą gminy, fundacye i fideikomisy. W Galicyi przypada na ziemię pod pług wziętą 48½, a pod ogrody 1½—ogółem pod uprawę roli połowa całego obszaru. Wyższą cyfrę wykazuje jedynie W. K. Poznańskie, Belgia, Francya i Prusy; wszystkie inne kraje posiadają mniej ziemi, niż Galicya. Ale kiedy na Podolu posiadamy więcej, niż 80 pr. roli, powiaty górskie nie sięgają nawet 10 pr. ziemi pod zasiew zdolnej. Mamy więc w kraju dwie ostateczności: ziemię żyzną (podolską i pokucką) i ubogą, górską (w Karpatach).

Przechodzimy do roślin handlowych. Rzepak cały jest płodem wielkiej własności; włościanie prawie wcale go nie sieją. Len i konopie, jako wymagające wielkiej liczby rąk przy uprawie, zbiorze i po zebraniu, nim surowy produkt staje się artykułem handlowym,— są przeważnie płodami małej własności. Dwór gospodaruje intensywniej, niż włościanin, bo ma większy kapitał obrotowy, lepszy płodozmian, więcej nawozu, lepsze narzędzia i nasiona. Produkcya jednak wielkiej własności w Galicyi stoi bardzo nizko, mimo przyrodzonego bogactwa w urodzajności ziemi nie wytrzymuje żadnego porówania z krajami zachodnimi Austryi i wogóle Europy.

Jeszcze niżej stoi gospodarstwo włościańskie. W r. 1893 zebrano pszenicy 4 miliony hkl. mniej, niż w roku poprzednim. Żytem zasiano pół miliona hekt. i zebrano z tego do 6 milionów hkl. ziarna, a więc blizko o milion hkl. mniej, niż w roku poprzednim. Jęczmieniem zasiano w r. 1893 w Galicyi 341,105 hekt., tj. o 6,557 więcej, niż w r. 1893, i zebrano z tego 4,803,180 hkl. Owsa zebrano również blizko o milion hkl. mniej, niż w r. 1892.

Pomyślniejszych wyników spodziewamy się po ostatnim spisie bydła w Galicyi. Okazuje on ogólny przyrost inwentarza żywego, mniejszy co do koni, większy znacznie co do bydła rogatego, a zarazem ujawnia przewrót w gospodarstwie, jaki się odbył w ostatniem dziesięcioleciu. Galicya co do ogólnej ilości bydła rogatego zajmuje dziś pierwsze miejsce w państwie, posiada go bowiem 28%. Największa ilość przypada stosunkowo na glinki pagórkowate zachodnie, bo 42 sztuki na 1 kilm. kwadratowy. A należy dodać, że i ludność rozsiedliła się tutaj gęściej, niż gdzieindziej, że stopień inteligencyi ludu jest wyższy, a co za tem idzie, przedsiębiorczość i sposób jego zagospodarowania lepsze.

Przez sto dziesięć lat prawie bez przerwy otwarta granica wschodnia dla bydła stepowego obniżała ceny drogo pasionego krajowego i rujnowała pracę nad jego podniesieniem. Ze stepów szły zarazy, które dziesiątkowały co parę lat, często co rok, całe okolice, wygubiły całe obory bydła krajowego, nie dały się rozwinąć hodowli.

Pod hasłem: „bydło stepowe ze wszystkiem, co ono przynosi, należy do stepu," podjęto politykę ochronną przeciw spędowi siwych opasów, a ustawa, zamykająca granicę galicyjską, stworzyła podstawę do podniesienia hodowli bydła rogatego w Galicyi. Z drugiej strony do tej hodowli zmusiło „przesilenie rolnicze" pod wpływem zamorskiego współzawodnictwa zboża indyjskiego i amerykańskiego.

Zewsząd wskazywano jako jedyny ratunek zmianę i poprawę sposobu gospodarowania, w przejściu z uprawy ziem do uprawy roślin okopowych, w wywozie nie zboża, lecz mięsa, spirytusu i cukru.

Pod temi hasłami rozpoczęła się u nas przed laty dwunastu t. zw. „akcya hodowlana."

Jaki rezultat da się osiągnąć, łatwo obliczyć. Gdyby jakość bydła zdołano podnieść o drobną kwotę, powiedzmy wartość krów o 3 złr. na sztuce, — a są to wymagania bardzo skromne, to w ciągu kilku lat możemy podwyższyć wartość produkcyi bydła o kilka milionów złr. Gdyby tylko o pół litra większą była wydajność mleka dziennie przy cenie 6 centów za litr, to pomnożenie dochodu krajowego wyniosłoby 13 milionów złr. Bo z takich to drobiazgów tworzy się suma bogactwa krajowego.

Prościcki.

Listy z Anglii.

(Dokończenie).

Pomijamy inne różne drobne, jakkolwiek ważne prace naukowe, które pojawiły się na zjeździe. Ramy naszego listu nie pozwalają nam streścić wszystkich obrad tygodniowych. Również zamilczymy o latawcu d-ra Maxima, pomimo poparcia, jakiego ta maszyna latająca doznała ze strony lorda Raleigha; ostatecznie przyrządy te będą zawsze próbowane i popierane, pomimo, że latać nie potrafią. Bardziej pozytywnym i niezmiernie ważnym pod względem społecznym jest wynalazek d-ra Haldane'a, mogący przyczynić się do zupełnego zapanowania człowieka w podziemnych przestworach (kopalniach), gdzie dotychczas czarownice, w postaci złych i trujących gazów, tysiące dzielnych pracowników zabiły.

Dr Haldane, poparty w swych doświadczeniach przez dr. Lorraine-Smitha, przyszedł do przekonania, że przeważna *) ilość wypadków śmierci w kopalnich pochodzi z uduszenia: 1) wskutek zmniejszonej ilości tlenu w gazach, wydzielanych przy wybuchach w kopalniach, oraz 2) wskutek większej ilości kwasu węglowego, którem powietrze napełnione jest podczas tych wypadków. Dwie te przyczyny nie są jednak równego znaczenia: zmniejszenie (a tembardziej zniknięcie) tlenu jest daleko niebezpieczniejszem, aniżeli powiększenie procentu kwasu węglowego Oto są porównawcze symptomaty dwóch wyżej zaznaczonych zjawisk.

Przy powiększeniu procentu kwasu węglowego, gdy zwyżka wynosi 3%—oddech jest przyśpieszony i trudny; objawy te występują wyraźnie i silnie, gdy zwyżka dochodzi do 5%. Przy 10—11% są już gwałtowne z bólem głowy; dopiero przy 18% zwyżki następuje utrata świadomości, a po niej mocne przedśmiertne chrapanie.

Przy zmniejszeniu ilości tlenu nawet o 8 lub 9%, oddech nie ujawnia żadnego niebezpieczeństwa; przy dalszem zmniejszaniu się, gdy oddychający beztlenowem powietrzem jest już sinym, nie ma jednak żadnej świadomości o blizkiej katastrofie, której ulega nieostrzeżony przed niebezpieczeństwem. Objawy przedśmiertne przychodzą nagle i zaczynają się od zdradzieckiego ubezwładnienia członków, oraz powolnej utraty zmysłów. Dr. Lorraine-Smith, odetchnąwszy 8—9 razy powietrzem, które zawierało tylko 2% tlenu, nagle padł na wznak, nie doznawszy uprzednio żadnego uczucia nieprzyjemnego, mogącego być ostrzeżeniem.

Wobec tych danych dr. Haldane uważa, że każdy górnik powinien być zaopatrzony w odpowiednią ilość (60—70 litrów) tlenu, coby mu uratowało życie, dając możność przebycia jednej godziny w najgorszem powietrzu. W tym celu doradza on aparat, złożony ze stalowej butelki półlitrowej, napełnionej tlenem zgęszczonym. Cena zgęszczenia wyniosłaby zaledwie 6 pensów (około 20—25 kopiejek), a tem samem cały aparat mógłby zostać obowiązującym dla pracy w kopalniach. Butelka jest zaopatrzoną w regulator, rurę dla oddychania tlenem, oraz druty, które działając jak szczypce na nos, zapobiegają wdychaniu gazów szkodliwych, otaczających górnika.

Nie ulega wątpliwości, że prawodawstwo pracy weźmie pod uwagę badania d-ra Haldene'a, przyczem uwzględni inny jeszcze wynalazek, dokonany przez d-ra Clovesa. Ten ostatni wykazał, że podczas gdy świeca gaśnie przy obecności 13—16% kwasu węglowego, wodor może się palić nawet przy 58% owego gazu w powietrzu. Wobec tego przedstawił on zjazdowi niewielki przyrząd w formie cylindra, napełnionego wodorem zgęszczonym. Cylinder ten z tlejącym wodorem, wstawiony w lampę bezpieczeństwa, zapalałby *automatycznie* na nowo lampkę każdym razem, gdy górnik przechodzi z powietrza, przesyconego kwasem węglowym, do warstwy, gdzie lampka może się już palić sama.

Jeżeli doświadczenie wykaże możliwość zastosowania wynalazków wyżej opisanych, tegoroczny zjazd British Association znajdzie piękną kartę w dziejach postępu ludzkiego.

Sekcya ekonomiczna głównie zajmowała się sprawami z dziedziny zastosowywania filantropii do życia gospodarczego. Faktem niezmiernego znaczenia jest to, że przeciwstawiano już państwu nie jednostkę, ale rodzinę, tj. grupę społeczną (prof. Bastable). Niemniej ciekawem zjawiskiem było przemówienie pana S. Webba (Fabiana) w obronie gospodarki gminnej.

Inne, bardzo ważne badanie naukowe dokonane zostało przez komitet parlamentarny „Brytańskiego stowarzyszenia lekarskiego." Czytelnicy znają między innemi zarzuty czynione Anglii, że zatruwa Indye i Chiny za pomocą handlu opium. Każdy gorzelnik i szynkarz, rozpajający nasze różne Kozie i Psie Wólki, Solce i Czerniakowy, uważa się za uprawnionego do rzucania kamieniem na „egoistyczną" Anglię, zatruwającą połowę Azyi. Piwowarzy i gorzelnicy Królestwa Zjednoczonego w agitacyi przeciw opium widzieli także nietylko dobry interes, ale i tanią reklamę liberalizmu, oraz obywatelskości wszechświatowej. To też i w Anglii stowarzyszenia przeciw opium miały nielada powodzenie. British Medical Association postanowiło zbadać tę sprawę bliżej, za pomocą ulubionej w Anglii metody ankiety przez „znawców na miejscu." Tymi znawcami byli wyżsi urzędnicy, lekarze i sędziowie, którzy uproszeni zostali o odpowiedź na szereg zapytań, postawionych przez stowarzyszenie lekarskie. Wykształcenie i sumienność „ekspertów" nie ulegają żadnej wątpliwości; pod względem przekonań korespondenci stowarzyszenia należeli do różnych stronnictw. Z otrzymanych dotychczas *stu* odpowiedzi, d-r Hart ogłosił wyciąg w „British medical journal," zaznaczając wnioski, poparte jedynie faktycznemi danemi oraz tylko takie, które znajdują się prawie we wszystkich odpowiedziach. Wyciąg ogłoszony przez d-ra Harta stwierdza, że spożywanie opium jest prawie powszechne wśród indusów. W rozległem tem cesarstwie, rzą-

*) A mianowicie według Haldane'a—75% tych wypadków.

dzonem przez konstytucyjną królowę europejską, znajduje się zaledwie kilka miejscowości o szczególnie zdrowym klimacie—dodają sprawozdawcy—w których opium nie jest rozpowszechnione. Wogóle zaś w Indyach na 75 konsumentów opium przypada zaledwie jeden wstrzemięźliwy. Formą spożywania w Indyach jest żucie pigułek opiumowych, podczas gdy chińczycy, jak wiadomo, palą ten narkotyk w fajkach. Sposób ten uważany jest przez lekarzy za najszkodliwszy.

Wszystkie liczby o wzroście spożywania opium trzeba—jak twierdzą sprawozdawcy—traktować bardzo ostrożnie; wzrost ten jest względny w stosunku do zwiększania się ludności.

Jeżeli używanie opium jest zjawiskiem powszechnem w Indyach, natomiast liczbowa siła konsumcyi jest różną. Ilość spożywanego opium zależy zarówno od przyczyn zdrowotnych, jak i ekonomicznych. W klimacie wilgotnym, gdzie panują żółte febry, gorączki i malarye, mieszkańcy spożywają opium w wielkich ilościach. Niemniej ludność bardzo uboga żuje ten środek, aby „zagłuszyć głód"—tak samo, jak w innych krajach nędzarze topią swą biedę w kieliszku. Porównanie to robimy dla naszych moralnych przedstawicieli gorzałki krajowej. W Indyach zaś głód jest rzeczą chroniczną.

Inna przyczyna spożywania opium jest następująca: „U nas—mówi jeden sprawozdawca — karmią niemowlęta opiumem, aby je uśpić, a tem samem dać matce możność pracowania bez przeszkody." Gdy Indye się ucywilizują, dzieciobójstwo, spędzanie płodu i podrzucanie zastąpią prawdopodobnie pierwotny sposób usypiania.

Sędziowie, badani listownie przez „Brytańskie stowarzyszenie lekarskie," nie widzą żadnego stosunku między spożywaniem opium a moralnością i statystyką zbrodniczą. Wreszcie wszyscy ostrzegają rząd, aby nie zabraniał handlowania tym produktem; całe Indye—mówią sprawozdawcy—powstaną, bo w zakazie tym widzieć będą chęć popierania przez rząd.... gorzałki angielskiej.

Ankieta owa jest niezmiernie ciekawą. Być wszakże może, iż na odpowiedzi urzędników wpływa obecne przesilenie finansowe cesarstwa, a wiadomo, że dochód z opium stanowi pokaźną rubrykę i w budżecie i w handlu krajowym. W każdym razie tuzinkowy liberalizm, który rozpajał gorzałką ludność Królestwa Zjednoczonego, zarazem wylewając łzy krokodyle nad losem „zatruwanych indusów," ten liberalizm zainteresowany—milczy. A zatem w wyciągu d-ra Harta musi być część, lub nawet całość prawdy!

Wacław Nadolski.

LIBERUM VETO.

Bankructwo de la Farre'a i operacya dokonana na p. Peretzu. — Kilka wyjaśnień w sprawie kontroli publicznej nad światem kupieckim. — Los odważnych wobec artykułu o dyfamacyi. — Raz surowość, drugi raz tolerancya. — Bez bawełny. — Stowarzyszenia.— Wystawa owoców i tak zwany „dabór normalny." — Fałszywy wniosek z lekcyi poglądowej. — Jan Kowalewski.

Albo margr. de la Farre nie wypompował z kieszeni warszawian paruset tysięcy rubli, albo jego ofiary są uczniami Marka Aureliusza i ze wzorowym stoicyzmem znoszą swe straty. W dziennikach bowiem odezwał się tylko jeden głos skargi i przekleństwa, a nawet warszawski pełnomocnik oszusta, p. Hertz, otrzymał stosunkowo łagodną wymówkę. Ale za obu tych panów dostał cięgi redaktor *Gazety losowań*, który rzeczywiście odegrał rolę przysłowiowego kowala, powieszonego za winy ślusarza. Ponieważ ta egzekucya dotyka zasadniczo praw i obowiązków kontroli publicznej, więc zatrzymam przy niej na chwilę uwagę czytelników. Po bankructwie de la Farre'a, p. Peretz napisał w swej *Gazecie*, że je przewidywał już od roku. Jakto? — krzyknięto na niego — ty wiedziałeś, że to szwindel i milczałeś? Dalejże go pod chłostę! Bił, kto chciał i co wlazło, a tak zmaltretowano mniemanego sprawcę cudzych nieszczęść, że on w ostatnim numerze *Gazety losowań* złożył swemu głównemu oskarżycielowi, *Kuryerowi codziennemu*, bardzo pokorne objaśnienie. A teraz zapytajmy, czy p. Peretz, czy ktokolwiek, czy najśmielszy z odważnych *Kuryer codzienny*, gdyby był nawet przekonany, że de la Farre kroi swój interes na oszustwo, byłby wystąpił z publicznem ostrzeżeniem? Otóż sądzę, że — nie. Naprzód powstrzymałaby go od tego kroku obawa omyłki, która każdemu człowiekowi może wyrządzić wielkie szkody, a kupca strącić w przepaść ruiny. Jakie znaczenie ma fałszywa pogłoska dla świata handlowego, świadczy następujący wypadek. Przed kilku laty parę pism włoskich doniosło, że pewna firma medyolańska stała się niewypłacalną. Wiadomość tę powtórzył w depeszy korespondent *Frankf. Zeitung*. W kilka godzin okazała się ona zmyśloną. Wtedy korespondent nietylko natychmiast przesłał telegraficzne sprostowanie do swojego dziennika, ale także do kilku ważniejszych w Europie oraz do giełd pierwszorzędnych. Mimo to pokrzywdzona firma wytoczyła proces *Frankf. Zeitung*, żądając setek tysięcy franków (cyfry dokładnie nie pamiętam) odszkodowania. Pytam: czy sprawozdawca gazety handlowej mógł nie zawiadomić jej o bankructwie, o którem doniosły pisma miejscowe; czy mógł okazać lepszą wolę w sprostowaniu cudzego kłamstwa? A jednakże tego wszystkiego nie uwzględniono. Powtóre, zwłaszcza redaktorom, znany jest paragraf kodeksu karnego, wiszący nad nimi, jak miecz Damoklesa, słynny artykuł o dyfamacyi. Grozi on ciężką karą temu, kto drukiem kogoś zniesławia, a pociągnięty za to do odpowiedzialności przed sądem musi na poparcie swych twierdzeń złożyć dowód piśmienny. Przypuśćmy więc, że p. Peretz lub *Kuryer codzienny* ostrzegł amatorów kupna pożyczek premiowych na raty, że p. de la Farre jest — nie oszustem, broń Boże, ale tylko... niepewnym. Jaki byłby rezultat? P. de la Farre zwróciłby się do sądu, zażądałby tam dowodu piśmiennego, usprawiedliwiającego wątpliwość co do jego rzetelności, i wsadziłby p. Peretza lub redaktora *Kuryera codziennego* do kozy — jak dwa razy dwa cztery. Nie dość tego: owym tryumfem poprawiłby sobie kredyt i wzmocnił zaufanie swej klienteli. Oto byłby skutek „odwagi obywatelskiej." Czy pożądany?

Ale po co tu mamy rozbierać wypadki tak ryzykowne: czy pisma nasze na każdym kroku nie dowodzą braku śmiałości w piętnowaniu osób i czynów, których niecnota jest ogólnie stwierdzoną? Znaliśmy wszyscy pewnego nicponia, który sam nabroiwszy wiele, dawał ludziom uczciwym publiczne lekcye moralności, a gdy mu przypomniano stare grzechy, uderzył w dzwon zgrozy i znalazł obrońców. Znaliśmy wszyscy drugiego, który wynajmował swe pióro najnędzniejszym reklamom i przeszedł przez najniższe stopnie upadku, a jednakże do śmierci nie zamykano mu drzwi redakcyjnych i drukowano jego artykuły. Znaliśmy trzeciego, który pod własnem nazwiskiem budził wstręt, a pod pseudonymem zażywał szacunku. De la Farre ukradł nam ileś rubli — jest to niewątpliwie szkoda; ale ileż większych szkód ponieśliśmy przez tolerancyę dla rozmaitych innych nicponiów!

Ponieważ zaś jesteśmy dziś w nastroju szczerości, więc pozwolę sobie rozwinąć tę literacką bawełnę, w którą obwijamy nasze słowa publiczne i wyznam otwarcie: p. Peretz dlatego został zburczany za de la Farre'a, że jest p. Peretzem a nie Pereckim, i że „rdzennika" krajowego ani by tak nie sfukano, ani on by tak lekko ciosów nie odparował. *Hier liegt der Hund begraben.*

Wulkan Towarzystwa cyklistów tak zasypał swoimi rekordami inne stowarzyszenia, że stały się one Pompeją, którą odgrzebywać trzeba z popiołów. Pracowite zabiegi wydobyły na wierzch oba stowarzyszenia subjektów handlowych w. m. i w. chrz. Pierwsze (w. m.) odnowiło swój zarząd i uchwaliło, ażeby członkowie nie wynosili po za dom własny plotek, że ich ciało za dużo śpi. Drugie, zwane przez *Kuryery* — „to ze Ś-to Krzyzkiej," a obejmujące tylko chrześcian, właściwie nic dało jeszcze wyraźnego znaku życia, ale żywsza krew zaczęła krążyć w niektórych jego członkach. Jeden z nich w liście do nas pisanym powiada:

Jest nas w gromadzie przeszło 1,500; w tej liczbie moglibyśmy stanowić siłę, gdyby nas przenikała energia i łączyła solidarność, a stanowimy garść piasku, której każde ziarno leży odosobnione. Kiedyś podjęliśmy sprawę kupna rabatowego, a pewne firmy zobowiązały się sprzedawać stowarzyszonym towary po zniżonych cenach. Zdawałoby się, że z tych ulg skwapliwie skorzystamy, bo przecież rubel za nami nie chodzi, tylko my go ścigać musimy; tymczasem wkrótce zapomnieliśmy zupełnie o rabatach. Gdyby 1,500 członków wraz ze swojemi rodzinami i znajomymi chciało nabywać produkty w pewnych sklepach i popierać pewnych ludzi, moglibyśmy wywrzeć wpływ na stosunki handlowe i podnieść tych, o dźwignięcie których nam chodzi. O tem wszystkiem nie pamiętamy, o takie rezultaty nie dbamy i pozwalamy wlec leniwy żywot instytucyi, która mogłaby być poważnym czynnikiem społecznym, a jest przybytkiem bezradności i swarliwych raz na rok rozpraw.

Tak się skarży członek Towarzystwa subjektów handlowych. Z tej skargi wypływa jeszcze jeden dowód, że my jesteśmy energiczni, pomysłowi, zabiegliwi tylko wtedy, kiedy się stowarzyszamy w celach zabawy. Wszystkie inne korporacye cierpią i prędzej lub później umierają na suchoty.

Towarzystwo ogrodnicze ma niewątpliwie dobre chęci, urządzając od czasu do czasu wystawy roślin lub owoców, ale powinno stanowczo zwiększyć przytem starania a zmniejszyć pretensye, jeżeli nie myśli być górą, rodzącą myszy. Zeszłego tygodnia okazało nam wystawę owoców w „normalnym doborze" dla naszego kraju. Gdyby ono nazwało ją: „czem chata bogata, tem rada" albo wreszcie duplikatami okazów, wysłanych na wystawę petersburską, nie mielibyśmy nic do powiedzenia, chyba może to, że niektóre z nich do popisu się nie nadają. Ale skoro w tym ilościowo i jakościowo skromnym zbiorku jesienno-zimowych jabłek i gruszek kilku hodowców mamy widzieć „normalny dobór owoców dla Królestwa Polskiego," to trzeba się uśmiechnąć. Pomijamy brak owoców letnich, które stanowią ważną gałąź naszej produkcyi, pomijamy nawet brak śliwek, które również u nas nie są drobnostką; ale czyż jakikolwiek pomolog przyzna, że tylko lub przedewszystkiem te odmiany, które wystawiono w Bagateli, zasługują na hodowlę w naszym kraju? Bardzo wątpię. Nie znajdzie tu bowiem mnóstwa gatunków, uprawianych u nas z wielkiem powodzeniem, a natomiast znajdzie inne (zwłaszcza śród gruszek), które tylko udają się w wyjątkowych warunkach i przy wyjątkowych staraniach. Właściwie o za-

dnym „doborze normalnym dla Królestwa Polskiego“ dziś jeszcze mówić nie można. Wprawdzie przed paru laty kilku pomologów ułożyło odpowiednią listę, ale była ona wyrazem bardzo ograniczonych wskazówek. U nas nie prowadzą się doświadczenia z hodowlą drzew owocowych ani w większej mierze, ani w systematycznym ciągu; w rozmaitych okolicach kraju udaje się wiele odmian, bardzo rozpowszechnionych, których nazwy i pochodzenia nikt nie zna, które przeto do „doboru normalnego“ nie należą, a należeć powinny. Ileż to razy ktoś z koszem gruszek lub jabłek włóczy się od pomologicznego Annasza do Kaifasza i znikąd nie otrzymuje objaśnienia, co właściwie posiada. Za granicą, obok ścisłych doświadczeń, prowadzonych przez długie szeregi lat, pisma i stowarzyszenia ogrodnicze powołują swych czytelników i członków do głosowania: jakie gatunki jabłek i gruszek są w ich okolicy najliczniej reprezentowane, najpłodniejsze, najpokupniejsze itd. Z tych odpowiedzi dopiero układają się wykazy według największej ilości głosów. U nas nic podobnego się nie robi i tylko albo improwizujemy, albo opieramy nasze twierdzenia na wskazówkach bardzo szczupłych.

Improwizacyą, zbiorem ułożonym całkiem przypadkowo, była wystawa, urządzona w Bagateli. To też ktoby chciał z niej wyciągnąć wniosek praktyczny, to widząc ładne gruszki a mizerne jabłka, powziąłby najzupełniej błędne mniemanie, że nasz kraj jest ojcem gruszek i ojczymem jabłek—wręcz przeciwnie, niż w rzeczywistości. Byli też między zwiedzającymi wystawę naiwni, którzy nie domyślając się, że mają przed sobą płody starannie pielęgnowanych karłów, zapisywali sobie głównie nazwy okazałych gruszek do uprawy w sadach wiejskich. To się nazywa dawać społeczeństwu lekcyę poglądową „doboru normalnego.“ Och, ile w tem tkwi smutnego humoru!

* * *

W piątek poprzedniego tygodnia zmarł człowiek, który z pismem naszem pozostawał w ścisłym związku. Od założenia wydajemy *Prawdę* (a przedtem *Nowiny*) w tej samej drukarni, której właściciel, Jan Kowalewski, przedwcześnie zstąpił do grobu, pożegnany głębokim żalem nietylko przez rodzinę, ale przez wszystkich, co go znali. Piętnastoletni, niemal codzienny z nim stosunek pozwolił nam wypróbować i ocenić jego charakter. Ukształcony, energiczny, prawy, serdeczny, należał do ludzi wyborowych a w tej sferze nieczęsto spotykanych. Jako posiadacz jednego z największych zakładów w kraju naszym, wydrukował przez lat 20 ogromną ilość nakładów, przez co stał się poważnym współdziałaczem tej pracy, która wytwarza literaturę. Zmarł, jak piorunem zdruzgotany, nagle, w pełni sił, osierociwszy liczną rodzinę i zasmuciwszy licznych przyjaciół. *Prawda* rzuca na jego trumnę wyrazy szczerego żalu i zachowa po nim serdeczne wspomnienie.

Poseł Prawdy.

W DALI.

Łowicz. Na jarmarku znaczne ożywienie i zjazd liczny. Przybyli tu handlarze przedstawiają nietylko bliższe miejscowości, lecz i dalsze. Najwięcej tranzakcyj odbywa się na konie, które napłynęły obficie i w doborowych gatunkach. Pomimo obfitości, cena ich jednak trzyma się dosyć wysoko, dzięki podbijaniu przez obcych przybyszów. Niektórzy z nich nabywają tu co rok przeszło 100 koni po 300—400 rs. za sztukę. Zakupy koni włościańskich również znaczne. Dobrej szkapy niżej 100 rs. nie można kupić, kulawe zaś i zołzowate idą po 50 rs. Na porządku dziennym oszustwa, które tu raczej są uważane za figiel, nie zaś krzywdę, wyrządzoną innym i popełniane są nieraz przez ludzi uczciwych we wszelkich innych sprawach. Oprócz ukrywania wad i chorób, zdarza się nawet farbowanie koni, które zmieniają maść po pierwszym deszczu. Wołów i owiec dostarczono mało, zapewne z powodu obfitości paszy, co wpływa na wzrost cen. Z początku sprzedawano woły po 100 rs., następnie zaś po 112 rs. za sztukę. Niektóre miejscowości, dostarczające co rok bydła na jarmark, obecnie nie pośpieszyły wcale z dostawą. Kilku hodowców z gub. łomżyńskiej sprowadziło partyę osłów, nabywanych chętnie przez fabrykantów z Łodzi, Tomaszowa i Zgierza do wożenia ciężarów w obrębie fabryk. W zakresie wyrobów najwięcej sprzedaje się kożuchów, sprowadzonych z Cesarstwa. Obroty jarmarczne zależne są przeważnie od udziału żydów; w czasie szabasów ruch słabnie.

Łódź. Oszustwo firmy „de la Farre“ naraziło mieszkańców Łodzi, przeważnie młodzież handlową, którą zwabiono widokiem wielkich wygranych i spłatą na raty, przeszło na 150,000 rubli. Poszkodowani starają się odzyskać drogą sądową chociażby cząstkę swoich wkładów. — Z nadejściem jesieni bieg interesów przemysłowo-handlowych ożywia się. Przybywają odbiorcy towarów z rozmaitych stron. Podobnie jak i dla innych centrów przemysłowych Królestwa, głównym rynkiem zbytu nie są już okoliczne jarmarki, lecz przeważnie Cesarstwo i jarmarki w Niższym Nowogrodzie. Na ostatnim z nich towary łódzkie sprzedano korzystnie. — Ruch budowlany nie ustaje i pomimo spóźnionej pory, w wielu miejscach mury ledwie trochę wznoszą się nad fundamenty. Dowozy cegły i kamieni trwają bez przerwy. Kamienie polne stają się coraz droższe, gdyż trzeba je sprowadzać koleją z dalszych stron. Domy budowane są przeważnie dla spekulacyi (dają 15% zysku i więcej) i dlatego noszą charakter koszarowy. Dbałości o hygienę i wygody mieszkańców nie ma najczęściej wcale. Świeżo właśnie za nieporządki w domach ukarano 15 właścicieli dwudniowym aresztem. Wobec powszechnej pogoni za zyskiem i zaniedbania potrzeb zdrowotnych, przyjemnie odbija wznowiony przez technika Jachnikowskiego projekt zmarłego dr. Lubelskiego otwierania przy fabrykach łaźni i ogrzewania ich parą „straconą.“ Miasto, posiadające 40,000 robotników, ciągle zasmolonych i zakurzonych, odczuwa wielki brak tanich zimnych i gorących kąpieli, mała zaś istniejąca ich ilość odznacza się wielkim nieładem i jeszcze większym brudem. — Teatr „Wiktorya“ i „Thalia“ poddano gruntownej restauracyi. Sezon letni ma być zamknięty koncertem na rzecz ubogich rodzin, pozostałych po ofiarach cholery.

SPRAWY EKONOMICZNE.

CENTRALIZACYA W HANDLU DETALICZNYM.

Mimo że sprawa wielkich magazynów wystąpiła poważnie zaledwie od kilku lat i dotyczy jakiegoś dziesiątka przedsiębierstw, stworzyła przecież całą literaturę. Louvry i inne tego rodzaju zakłady są jakby koroną tego rozwoju, który w zakresie industryi właściwej wywołuje coraz dalej idącą specyalizacyę, w dziedzinie zaś pośrednictwa handlowego działa wprost odwrotnie, bo składy specyalne łączy z sobą pod tym samym dachem. Dążności to, z pozoru wręcz sobie przeciwne, są jednak objawem tej samej tendencyi ogólniejszej: centralizacyi sił przemysłowych i zwycięstwa wielkich kapitałów nad drobnymi. Z początku, słysząc głosy mnóstwa kramikarzy, którym wielkie przedsiębiorstwa sprzedaży detalicznej odbierały zarobek, sarkano na te olbrzymy; z biegiem czasu spostrzeżono wszakże, że kwestya postawiona została w niewłaściwy sposób, bo nad interes tłumu spożywców wywyższono dobrobyt paru setek, przypuśćmy, paru tysięcy pośredników. „Spór pomiędzy zwolennikami a przeciwnikami wielkich magazynów—pisze G. d'Avenel—da się sprowadzić do kwestyi następującej: czy handel istnieje dla publiczności czy też może ona dla niego. Zdaje się, iż są dwie teorye całkiem sprzeczne, a jednak w tej samej mierze panujące w mózgach. Jedna żąda usunięcia pośredników: rolnicy dążą do bezpośredniego zbytu swoich produktów, robotnicy marzą o bezpośredniej sprzedaży swoich mięśni. Każdy stara się o zmniejszenie zysków, przypadających na osoby, które wlazły pomiędzy wytwórców a spożywców. Równocześnie zawiść zagrożonych w swoim bycie pośredników, którzy sprzedają drogo i zarabiają niewiele, oddziaływa na opinię publiczną i wpaja w nią bardzo żywą niechęć przeciwko temu odłamowi kupców, którzy zarabiają dużo, chociaż sprzedają tanio, i przeciwko tym potężnym bazarom, które na wielką skalę usuwają takich niepożądanych pośredników... Uważny rozbiór zysków, otrzymywanych przez wielkie magazyny, świadczy, że zadowalają się one zyskami o wiele mniejszymi, niż te, jakie pobierał drobny kupiec w dawnych czasach. Owe nizkie ceny, które spożywcy mają nadzieję wymódz na producentach za pomocą syndykatów i związków spożywczych, stały się już poniekąd rzeczywistością skutkiem pojawienia się tych wielkich sprzedawców, wywierających na fabrykanta nacisk obfitością swojej klienteli i zmuszających go też do poprzestawania na skromnej cenie.“ Tak brzmią obecnie poglądy ekonomistów francuskich! Można więc się spodziewać, że grożenie wielkim magazynom zupełnie ustanie niebawem i sarkać będą jedynie koła kupczyków, których zmiata ze świata nowoczesny rozwój ekonomiczny. Prócz względów powyżej wspomnianych, mianowicie że bazary w rodzaju Louvre, ogromnie przyczyniły się do spadku cen przedmiotów, znajdujących się w handlu, wiele wpłynęła na mistrzów ekonomii mieszczańskiej inna okoliczność. Mają oni swego Benjaminka—przemysł krajowy: kto pracuje w tej winnicy i rozszerza ją, na tym niema grzechów! A wielkie magazyny okazały w tej mierze moc czarodziejską, gdyż powołują do życia całe ogniska przemysłowe i, dodajmy, sprawiają przewrot w niektórych gałęziach, gdzie dotychczas panował rękodzielniczy, ba, nawet rzemieślniczy tryb produkcyi. Rozporządzając ogromną rzeszą klientów, bazary oddziaływają na rozwój przemysłu krajowego skuteczniej, aniżeli to czyniły rządy przy pomocy zapomóg państwowych! Naturalnie wiedzą też ono, co czynić należy, ażeby osiągnąć możliwie wielką wdzięczność ze strony rodaków. Po wojnie francusko-niemieckiej podejmują systematyczną walkę przeciwko wyrobom, które przychodziły z Niemiec. Sprzedając zaś miliony sztuk, niebawem doszły w tej mierze do wielkich rezultatów. Louvre swoją polityką zniszczył zupełnie dowóz aksamitów z Crefeldu i w Saint-Etienne stworzył nowe ognisko przemysłowe; co większa, w departamencie Hautes-Pyrenées powołał do życia wyrób trykotów, których produkcyą przed laty dziewięciu wyłącznie zajmowały się Berlin i Chemnitz. Podobnie pod wpływem tego magazynu zaprzestano przywozić zabawki z Norymbergi, bo powstały fabryki swojskie. O takiem oddziaływaniu pośredników na sferę produkcyi wymowne składa świadectwo d'Avenel. „Zamówienia, poczynione przez Louvre lub Bon Marché, zwiastują dla fabrykanta niezamożnego lub znajdującego się w ciężkiem położeniu, początek albo powrót szczęścia. Rodzą one z siebie pieniądz, bo z niemi wszędzie znajdzie on kredyt na kupno surowców!“

Trzymaliśmy się dotychczas pracy G. d'Avenela *). I w ciągu dalszego przedstawienia będzie ona nam służyła za źródło. Nad statystyką dochodów lub wydatków, nad oszczędnościami, jakie pozwala czynić taka centralizacya handlu detalicznego, nie będziemy się zatrzymywali. Są to rzeczy wielokrotnie już powtarzane. Natomiast uwzględnimy parę faktów innych, mniej znanych. Gdy Zola w swej powieści wyprowadza chudopachołka, który z niczego dochodzi do milionów, nie mija się z prawdą. Założyciele wielkich magazynów wszyscy wyszli z pośród ubogiej hołoty. Ale mieli głowę nie od parady na karku i zrozumieli, że w handlu pomyślny odkrywca równie zrobić może interes, byleby tylko swoją wynalazczość skierował w odpowiednim kierunku. Baucicaut i inni są istotnymi wynalazcami w technice procederu pośredniczącego i w niej dokonali przewrotu. Pojęli oni, że uczciwość wraz z pobieraniem drobnych zysków na wielką skalę może uczynić ich bogaczami, że nie trzeba za ten sam towar zdzierać mniejszej lub większej ceny, stosownie do fizyognomii kundmana. Zasady te są tak proste, a jednak długo musiały czekać, ażeby ktoś ważył się na próbę z niemi! Kto stworzył Louvre, nie miał ani sous'a w kieszeni, jego spólnik i uczeń jednocześnie — również. Z trudnością wyszukali kapitalistę, który wszedł do spółki i wniósł sto tysięcy franków kapitału, niebawem jednak usunął się. Musieli walczyć z mnóstwem przeszkód i jeszcze w r. 1878 stali bardzo źle. A dzisiaj doszło do tego, że akcye pierwotne, wypuszczone po 5,000 fr., dają dochodu aż 19,000 fr., tj. blizko cztery razy tylo, ilo założyciele wnieśli kapitału! Wątpię, czy wiele podobnych wypadków da się naliczyć w życiu przemysłowem. Równie dobrze stoją akcye innych bazarów. A wyrosły one właśnie z zastosowania do handlu detalicznego wspomnianych zasad, położywszy trupem tysiące drobnych współzawodników. W walce tej wyćwiczyły swoją organizacyę i ćwiczą ją nadal, ale już pod wpływem wzajemnej konkurencyi. Albowiem pomiędzy wielkimi magazynami toczą się zapasy nieprzebłagane: połknąwszy sporo drobiazgu, usiłują pożreć nawzajem siebie. Każdy zpośród nich ma stałą armię szpiegów, którzy kupują towary w innym. Zwłaszcza kiedy rozpocznie się sezon, szpiegowanie to jest nadzwyczaj silne. Louvre, sprowadziwszy nową materyę, oddaje ją po 1,50 fr. za metr, współzawodnik obniża ją na 1,45; wtedy tamten bazar ogłasza ceny jeszcze niższe. Wzajemne współubieganie sprawia, że ceny we wszystkich magazynach utrzymują się na tym samym poziomie i jeżeli niekiedy różnią się, to trwa to najwyżej parę dni. D'Avenel podaje mnóstwo ciekawych szczegółów, dotyczących organizacyi wewnętrznej. Bazar wielki, zastępujący sobą i jednocześnie mieszczący w sobie całe jarmarki średniowieczne, składa się z mnóstwa niezależnych do pewnego stopnia działów. Kierownik domu, jeszcze częściej rada, co miesiąc dla każdego takiego działu wyznacza kredyt, którego wartość bywa określana według sprzedaży, dokonanej w tym samym miesiącu ubiegłego roku, z poprawką na podstawie bezpośrednio poprzedzającego. Idzie o to, ażeby możliwie ustosunkować napływ towarów z ich wyprzedażą i tym sposobem uniknąć zastoju w jakimś przedmiocie. „Te doki olbrzymie użytkują jednocześnie z bodźców indywidualizmu i z potęg zrzeszenia. Jest to jakby nowy organizm złożony, polegający na zrzeszeniu pracy podzielonej i na podziale pracy zrzeszonej. U góry mamy kupno, zcentralizowane w ręku naczelnika, nawet w drobiazgach; u dołu, przy sprzedaży, partykularyzm został posunięty do ostateczności—subjekt przypomina kupczyka, który pobiera wprawdzie małe zyski na tem co sprzedaje, ale jest pewny, że nigdy nie sprzeda ze stratą.“ Kiedy zaś trzeba odebrać należność za towar i odesłać go, czynności te przypadają na nową organizacyę, działającą zupełnie niezależnie. Trudno przedstawiać tu drobiazgi co do buchalteryi i rachunkowości, których wynalazczość zdoła ocenić jedynie specyalista. Podobnie technika jest udoskonaloną w zakresie ekspedyowania towarów, które zostały już sprzedane. Weźmy dla przykładu Louvre. Bazar jest przerznięty mnóstwem rur pochyłych i poziomych pasów bez końca, poruszanych przez motor elektryczny. Najmniejsza paczka, rzucona do jednej z czeluści tego mechanizmu w najodleglejszym zakątku gmachu, jedzie po różnych korytarzach, spada na pasy, które ją zrzucają do wirów z innymi towarami, znowu z nich wypływa na pasy niższego piętra, póki nie znajdzie się w podziemiu, do którego przybywają towary zewsząd. Spadają one na olbrzymie koło, wciąż obracające się w poziomem położeniu, zwolna zmieniając miejsce w przestrzeni. W pośrodku nieruchomie stoją oficyaliści, z których każdy porywa paczkę, wysyłaną do jego dzielnicy, i rzuca do kosza. Obok organizmu, trudniącego się odbieraniem należności i wysyłaniem towaru, istnieje jeszcze inny, zajęty korespondencyą. Łatwo można odgadnąć jego rozmiary, kiedy powiemy, że z ogólnej liczby sprzedaży, wynoszącej 120 milionów, Louvre wysyła około 20 mil. na prowincyę i 10 za granicę. Stosunek ten jest taki tam dla Bon Marché, w Printemps zaś jeszcze o wiele większy. Codziennie trzeba tam, w wielkich magazynach, odsyłać do 50 kilogramów korespondencyi, wysłać żądane próbki, niekiedy odpowiedzieć. A ponieważ dużo zależy na pośpiechu, przeto personel, pracujący w dziale korespondencyjnym, jest bardzo znaczny. W Luwrze aż 250 subjektów zajmuje się rozpieczętowywaniem listów i rozdzielaniem pomiędzy odpowiednie działy. W każdym znowu znajduje się grono osób, które jedynie zajmują się udzielaniem odpowiedzi. Zwłaszcza dużo rąk roboczych pochłania służba, wysyłająca próbki. Wszak wysyła się ich do 200 mil. rocznie! Sześć maszyn wycina je, w liczbie 32 tysięcy skrawków na godzinę, potem idą one dalej, gdzie inne maszyny je naklejają. Około 110 robotnic i do 40 subjektów ledwie zdąży dokonać tej roboty.

Tak przedstawiają się wielkie magazyny w swojej działalności. Technika centralizacyjna je stworzyła, bo bez udoskonaleń na tem polu żaden kapitał, chociażby największy, nie zapewniłby im zwycięstwa. Jak na dzisiaj, sprawiają one nieustającą zniżkę towarów w handlu detalicznym. Wielkie bazary paryskie pospołu sprzedają rocznie za 500 milionów franków. Cyfra ta, lubo bardzo wysoka, stanowi zaledwie dziesiątą część sprzedaży, uskutecznianej w kraju przez handle bielizny i ubioru oraz umeblowania. A zatem pole, którem zawładnęły, jest bardzo jeszcze nieznaczne w świetle porównawczem. Skutki jednak z ukazania się tych olbrzymów w handlu detalicznym rozszerzyły cię na całą tę sferę. Publiczność, mogąc otrzymać produkty z magazynów nawet na prowincyi, bez opłacenia kosztów posyłki i mając pod ręką cenniki, według nich kieruje się przy kupnie w drobnych sklepach. Wielkie więc magazyny są jakby organizacyą, kontrolującą zdzierstwa drobniejszych kupców i kramikarzy. Ze stanowiska spożywców należałoby życzyć, aby wyrastały nawet na kamieniu.

J. Wojewódzki.

*) „Le Mecanisme de la vie moderne“ w *Revue de Deux mondes.*

KREDYT PAŃSTWOWY.

III.

Główny zarys kredytu państwowego w nowej postaci podaliśmy już w nr. 27 *Prawdy*. Obecnie nie mamy zamiaru streszczać przepisów, lecz tylko chcemy zaznaczyć doniosłość niektórych najważniejszych szczegółów i ich możliwy w przyszłości wpływ na ogólny rozwój ekonomiczny.

Nowa ustawa Banku państwa uwzględnia wogóle zasadnicze potrzeby przemysłu i handlu. Instytucya ta udziela kredytu w trojakiej formie: 1) na sola-weksle, wzmocnione kaucyą hypoteczną, mieszczącą się w 70% szacunku nieruchomości Tow. kred. ziemsk. lub innego, przez Bank uznanego za dostateczny; 2) na sola-weksle, wzmocnione innem poręczeniem; 3) na zastaw ruchomości, które mogą być w posiadaniu dłużnika pod jego osobistą odpowiedzialnością. Kredyt ten musi wszakże być poparty sola-wekslem lub poręczeniem pośredników. Wielkie znaczenie ma ta ostatnia forma kredytu na kapitał obrotowy. Stopień odłużenia z innych źródeł schodzi tu na plan dalszy. Są wszakże nieuniknione pewne ograniczenia; tak np. pod zastaw nie nadają się ruchomości zasekwestrowane lub należące do właściciela, zagrożonego „subhastą.“ Do najważniejszych zaliczamy dwa działy: kredyt rolny i wogóle przemysłowy. Jak w jednym, tak i w drugim, pożyczki udzielane na ruchomości, tj. na wszelkie produkty tudzież inwentarz gospodarczy, dają wytwórcom w każdej chwili niezbędne środki do rozwoju i podtrzymania przedsiębiorstw, bez potrzeby uciekania się do pomocy lekarskiej.

Przedewszystkiem zwraca uwagę jedna forma, już wprowadzona w życie: pożyczki na zastaw zboża. Zrazu zastosowana jako środek tymczasowy, obecnie przeszła w operacyę stałą i już daje rezultaty praktyczne. Owa pomoc dla rolników datuje się od sierpnia roku przeszłego, zrodzona w chęci osłabienia skutków prowadzonej wówczas wojny celnej z Niemcami. Przez pięć miesięcy do końca roku wydano tego rodzaju pożyczek ogółem 27 milionów rs. na 61 mil. pudów zboża; w tem bezpośrednio z Banku państwa i jego oddziałów 12,9 mil. rs. na 36,6 mil. pudów, prywatne zaś instytucye kredytowe, którym powyższa otworzyła w tym celu rachunki, udzieliły 13,7 mil. rs. na 23,9 pudów zboża. Cyfry te dają pojęcie, jak dalece środek powyższy zgadza się z potrzebami życia. To też wprowadzony w formie obrotów stałych, odznacza się wielkiem uproszczeniem wszelkich formalności, przytem obejmuje szerokie koło wytwórców. Dzięki temu, dziś mogą korzystać z pożyczek nietylko więksi i średni właściciele ziemscy (których zboże w r. p. stanowiło 60% ogółu zastawu), ale także dzierżawcy i włościanie. Pożyczki te udzielane są wprost z Banku państwa, albo też za pośrednictwem ziemstw (gdzie te istnieją), prywatnych instytucyj kredytowych, towarzystw, opartych na zasadzie wzajemności, wreszcie nawet pojedyńczych osób, przedstawiających rękojmię odpowiednią. Pomoc kredytowa udzielana jest zarówno na zastaw zboża młóconego, jako też i w słomie, złożonego w stertach lub składach; wysokość pożyczki za omłócone wynosi $^2/_3$—$^3/_4$ jego wartości, na niemłócone — nie więcej nad 40% ceny produktu na miejscu. Termin zwrotu pożyczki — dziesięciomiesięczny, z możliwością przedłużenia według uznania Banku. Przedmiot zastawiony może zatrzymać u siebie właściciel lub też oddać go na przechowanie osobom odpowiedzialnym i instytucyom, albo wreszcie sam Bank trzyma go pod własnym kluczem.

Do omlotu tego rodzaju zboża można przystąpić dopiero po zawiadomieniu o tem instytucyi kredytowej. Pożyczki daje główne ognisko albo kasa rządowa, według żądania pożyczającego, albo wreszcie zapomoga ta może być przesłana pocztą. Bank państwa ma prawo ustanawiać maksymalną stopę procentu dla pośredników w wydawaniu pożyczek na zboże.

Któż to są ci pośrednicy? Dziś stanowią oni pomoc dorywczą w ułatwianiu wypłat pożyczek na zboże, w przyszłości zaś utworzą stałą organizacyę, jako ważny łącznik między instytucyą kredytową a pożyczkobiorcami. Według ustawy Banku państwa, pośredniczyć mogą wszelkiego rodzaju stowarzyszenia i grupy ludzi, materyalnie odpowiedzialnych i posiadających kredyt moralny. Do „stowarzyszeń“ tego rodzaju należą wszelkie kasy zaliczkowo-wkładowe i oszczędnościowe, tudzież wogóle organy kredytowe. Słyszeliśmy całkiem słuszne żądania, aby do tych grup zaliczono także zarządy gmin i kas powiatowych. Wogóle należałoby dążyć ku temu, ażeby o pośredników takich było bardzo łatwo na każdym kroku, we wszystkich zakątkach kraju. Ale czy w praktyce wyszukanie odpowiednich ludzi nie nastręczy wielkich trudności?.. Oczywiście, jeżeli będziemy ich ważyli skrupulatnie—nie sypną się kandydaci tuzinami. Oto, jakimi ich pragnie widzieć *Słowo*: Zadanie pośredników jest moralne i połączone z pewnem niebezpieczeństwem w zakresie możliwej odpowiedzialności względem Banku. Ludzie przeto, wchodzący w skład grup pośredników, powinni posiadać szereg cnót i przymiotów, żywo odczuwać potrzebę ekonomicznego rozwoju społeczeństwa, którego są członkami; być ludźmi nieskazitelnego charakteru, pilnymi badaczami stosunków, umiejącymi trafnie je ocenić, trzeźwymi, ale wyrozumiałymi, wreszcie roztropnymi, ale nie lękliwymi. Pod tymi warunkami niebezpieczeństwo odpowiedzialności będzie raczej pozornem, niż rzeczywistem. Na poparcie tego wniosku pismo powyższe podaje przykład. Zamożni i rozumni właściciele ziemscy w Lubelskiem za tem samem wynagrodzeniem, jakie Bank pośrednikom ofiaruje, żyrowali dla Towarzystwa wzajemnego kredytu weksle kilkudziesięciu rolnikom na sumę 60,000 rs. i przez 14 lat tej praktyki ani grosza nie stracili. „Żyro takie jednak zawiera w sobie najszerszą odpowiedzialność, dotyczącą bezwzględnego wypełnienia przez dłużnika całości zobowiązania, gdy tymczasem przy kredycie na zastaw ruchomości Bank państwa zadowala się połowicznem tylko poręczeniem rzeczowej odpowiedzialności dłużnika.“ Niebezpieczeństwo odpowiedzialności, zdaniem powyższego organu, o wiele jeszcze złagodzonem być może przez tworzenie się spółek drobnych przemysłowców wiejskich i miejskich, przyjmujących względem pośredników solidarną odpowiedzialność za zobowiązania swych członków. „Nie mamy najmniejszej wątpliwości—kończy *Słowo* — że w społeczeństwie naszem znajdzie się aż nadto ludzi uczciwych, rozumnych i materyalnie odpowiedzialnych do wypełnienia kadrów potrzebnej liczby pośredników; ale czy moralny ich zasób mieścić będzie resztę cnót i przymiotów, któreśmy za nieodzowne uznali? Czy nie objawi się brak poczucia obywatelskiego, egoizm i zbytnia obawa odpowiedzialności?“ Powątpiewania owe wynikły stąd, że pomimo gwałtownej potrzeby, przykład kilku ziemian lubelskich nie znalazł nigdzie naśladowców.

Więcej atoli, niż na osoby prywatne, można byłoby liczyć na drobne instytucye kredytowe; ktoś nawet zaleca w tym celu spółki systemu Reiffeisena, zbliżone do organizacyi Schultzego z Delitsch. Takie pośrednictwo, w mniemaniu niektórych ekonomistów, nie podroży zbytnio kredytu i utrzyma stopę procentową we właściwych granicach. Bank państwa pobiera od pożyczek $4\frac{1}{2}$—5% i z tego przeznacza 1% dla pośrednika. Oczywiście wszelkie spółki nie mogą się zadowolić tak małym zyskiem, trudno zaś przypuszczać, iżby Bank, zadowalający się $3\frac{1}{2}$—4 procentem, chciał tę stopę zniżyć. Ale niechby jeszcze o 1% podniósł na rzecz instytucyj pośredniczących, tj. dał im możność pobierania 2% (pożyczkobiorca płaciłby $5\frac{1}{2}$—6%), to i w takim razie kredyt będzie tanim, wobec dzisiejszego, który udzielany przez innego rodzaju „pośredników“ na zboże w słomie i na wszelkie ruchomości, obarcza dłużnika procentem 100, a nawet 200.

Kredyt rolny w związku z kasami wiejskiemi jest dziś na porządku dziennym także za granicą. Niedawno Ludwik Durand, autor pracy p. t. *Le crédit agricole en France et à l'étranger*, poruszył ten przedmiot wyczerpująco w czasopiśmie *Le Correspondant*. Zdaniem jego, byłoby rzeczą zgubną dostarczać rolnictwu wielkich kapitałów na to, aby rozstawszy się z rutyną i doświadczeniem osobistem, przeszło do uprawy *naukowej* i z *wiejskiego* stało się rolnictwem *miejskiem*. Natomiast autor powyższy woła o kredyt innego rodzaju: na inwentarze robocze i dochodowe, narzędzia rolnicze, nasiona itd., i dla jego ułatwienia żąda właśnie kas wiejskich typu Reiffeisena. Widzimy zatem, że i we Francyi, jak u nas, chodzi przedewszystkiem o ułatwienie bytu rolnikom, a nie przekształcenie formy produkcyi. Nasi ekonomiści jednak zachwycają się walczeniem p. Duranda o zachowanie „rutyny“ w gospodarstwie. Zapominają wszakże o jednem: że co francuz nazywa „rutyną,“ u nas stanowi szczebel, na który dotąd nie wspięła się jeszcze część rolnictwa, nazywana „wysoce kulturalną.“

Pomijając to, co należałoby zrobić dla zmniejszenia kosztów produkcyi i jej udoskonalenia, musimy przyznać wielką donioslość środkom *podtrzymania* gospodarki rolnej. Koła skrzypiące, zardzewiałe, o trybach zepsutych, wymagają smarowidła doraźnego. Wóz, w którym ułamał się kawałek osi, może jeszcze, podparty drągiem, wlec się do celu z całym swoim ładunkiem. Smarowidłem i podporą będzie właśnie kredyt na produkty i inwentarz dla stworzenia kapitału obrotowego. To też Bank państwa przychodzi dziś z tą ważną pomocą w takiej formie, jaką dotychczas uprawiają jedynie instytucye kredytowe szkockie, tj. udzielają zasiłków na rachunek bieżący. U nas dotąd czynił to lichwiarz i... właściciel cukrowni (zaliczki na uprawę buraków).

W przepisach Banku państwa nie wykazano są wyraźnie i szczegółowo wszelkie produkty, na które można pożyczkę zaciągnąć; ale ten brak wyszczególnienia każe właśnie przypuszczać, że o ile praktyka ujawni potrzebę, ustawa wciągnie różne przedmioty, nadające się pod zastaw kredytowy. Z tego względu na czasie są przypomnienia ziemian o wytworach gospodarstwa rolnego, które należałoby zaliczyć do gwarantujących sumy pożyczone. Do takich należą: koniczyna niewymłócona, wszelkiego rodzaju nasiona (najwybitniejsze u nas buraczane). Zresztą z odrębnych gałęzi trzeba byłoby wziąć pod uwagę gospodarstwo rybne, młynarstwo, pszczelnictwo i t. d. Natomiast Bank wyraźnie mówi o kapitale obrotowym na hodowlę owiec. Stąd można przypuszczać, że wogóle hodowla wszelkich gatunków bydła, koni, trzody będzie również uwzględniana, a co za tem idzie, i gospodarstwo mleczne, zaniedbane w wielu wypadkach z braku funduszów, również pomoc znajdzie i przy odpowiedniej sumie energii przedsiębiorców grunt trwały uzyska. Między innemi rubrykami znajdujemy kredyt na maszyny rolnicze, (który istniał przed tem). Przedewszystkiem atoli uwzględniono wyroby krajowe, na drugim zaś planie stoi kredyt na maszyny zagraniczne, i to z warunkiem każdorazowego wyjednywania pozwolenia ministeryum skarbu. Interesowani jednak wyrażają gorące życzenia, aby zniesiono to utrudnienie, wychodzą zaś z tej zasady, że przemysł w dziale maszyn i narzędzi rolniczych, pomimo wysokiego cła, nie zdołał rozwinąć się należycie, tak, iż sam rząd uznał za konieczne zniżyć cło od maszyn z 70 kop. złotem na 50 od puda. Stąd rolnicy przypuszczają, że Bank państwa również zechce uwzględnić istotny stan rzeczy, stwierdzający, iż wyroby krajowe nie odpowiadają wcale wymaganiom, tworzą tandetę, przynoszącą szkodę, nie zaś pożytek rolnictwu, podczas gdy zagraniczne odznaczają się nietylko trwałością, ale i zastosowaniem praktycznem o wiele lepszem. Takie jest mniemanie znacznej liczby ziemian, posługujących się maszynami i narzędziami. Czy tutaj przyczyną złego jest wyłącznie tandeta wyrobów krajowych?—Odpowiedź na to daliśmy czytelnikom przed kilku tygodniami (w art. „Zboczenia ekonomiczne“) wykazaniem innych czynników (brak umiejętnego obchodzenia się, warunki naprawy i t. d.).

Rolnicy cieszą się dziś z pożyczek dla piwowarów na zakupno chmielu, tem bardziej, że firmy zagraniczne udzielają właścicielom browarów kredytu na ten produkt z terminem od roku do dwóch lat. Tym sposobem chmiel zagraniczny, sprzedawany na kredyt długoterminowy, mógłby ze szkodą dla kraju zapanować na rynkach tutejszych. Pomoc atoli w tej mierze Banku państwa może przeciwdziałać złemu. Właściciele browarów będą mogli czynić znaczne zapasy natychmiast po zbiorze, t. j. w czasie, gdy chmiel jest najtańszy. Hodowcy zaś, mając do czynienia bezpośrednio z fabrykantami piwa, zyskają również na tem wiele.

Takie są najważniejsze rubryki kredytu dla rolnictwa. Przy ich przeglądzie może się nieco wypogodzić czoło ziemianom, ale nie tym, których najgwałtowniejszy ratunek nie potrafi ocalić. Kto swoją ziemię zadłużył w instytucyach kredytowych, kto ruchomości i inwentarz oddał pod zastaw lichwy, a ziemiopłody przedał na lat kilka z góry, ten marzyć może tylko o... spadku, posadzie i chlebie łaskawym. Natomiast dla uginających się pod ciężarem kłopotów materyalnych, możliwych jednak do usunięcia dla tych, którzy mogą naprawić i wzmocnić gospodarkę, kredyt Banku państwa przyniesie istotną korzyść, od ruiny ocali i z rąk lichwiarza (przynajmniej w części) wyrwie.

Znaczenie kredytu państwowego w nowej postaci dla przemysłu i rzemiosł, rozważymy w przyszłym numerze.

Zen. Piet.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Ze sprawozdania wydelegowanej komisyi widać, iż świętojański wylew Wisły poczynił szkód w obrębie gub. warszawskiej na 45,411 rs.

— Sprowadzane z za granicy srebrne i złote zegarki będą obowiązkowo stemplowane i obciążone opłatą probierczą.

— Pełniącym obowiązki starszego inspektora fabrycznego dla gub. warszawskiej został mianowany dotychczasowy inspektor Iwanisow.

— Dla włościan zniesioną będzie kara zesłania do mniej oddalonych miejscowości Syberyi, ponieważ obecnie chłopi z gub. wewnętrznych państwa osiedlają się tam dobrowolnie.

— Do komisyi o majoratach wniesiono projekt, aby właściciele majoratów donacyjnych mieli prawo sprzedawania tych posiadłości, lecz tylko za pośrednictwem

Banku włościańskiego i chłopom wyłącznie pochodzenia ruskiego i wyznania prawosławnego. Projekt znalazł poparcie ze względu, iż majoraty donacyjne nie uczyniły zadość swojemu zadaniu. (*Graždanin*).

— Inż. p. Kozłowski zrobił podanie do władzy o pozwolenie otwarcia w Warszawie kantoru architektonicznego dla wykonywania planów, kosztorysów, kontraktowania majstrów, robotników i dostawców i spełniania wszelkich innych czynności, odnoszących się do budowy.

— *Warsz. gub. wied.* zamieściły okólnik p. gubernatora, wywołany reformą inspekcyi fabrycznej. Policya i wójci gmin, w razie oporu, stawianego urzędnikom inspekcyi, powinni przyjść ostatnim z pomocą. Gdy zachodzi obawa wzburzenia umysłów śród robotników, inspektorzy mają zawiadamiać o tem policyę. W sądzie oskarżają na zasadzie protokołów inspektorzy lub w zastępstwie ich policya. Inspektorzy będą otrzymywali od policyi wszelkie wskazówki odnośnie do powstawania nowych fabryk, przygotowujących się bezrobocі i t. d. Na żądanie inspekcyi policya ma wysyłać do miejsca zamieszkania nieletnich, słabowitych robotników.

— Inspekcya fabryczna wzbroniła robotnikom przyjmowania posiłku w warsztatach, w razie zaś niemożności oddalania się, przedsiębiorca winien urządzić specyalne jadalnie. Używanie tych samych robotników do pracy dziennej i nocnej zabrania się. (*Warsz. gub. wied.*).

Szkoły. Według nowego planu programu dla szkół realnych, kurs ma być sześcioletni, siódmy zaś rok posłuży do zaokrąglenia i uzupełnienia wiadomości. Z przedmiotów matematycznych wykreślono nieobowiązujące przy egzaminie do zakładów wyższych, specyalnych, liczbę zaś godzin wykładowych matematyki i języków zwiększono, kurs historyi i geografii rozszerzono, początki fizyki wykładane będą dopiero w klasie 5-ej, kreślenie zaś połączono z matematyką. Odpowiednio do tych programów przystosowano plany szkół średnich przemysłowych, zwłaszcza w zakresie fizyki i matematyki. Nowy program wejdzie w życie już w przyszłym roku szkolnym. (*Now. wr.*)

— Chedery mają być zupełnie zniesione i zastąpione szkołami rządowemi, gdzie naukę religii i języka hebrajskiego wykładać będą ludzie więcej od mełamedów wykształceni.

— W Łucku na miejscu szkoły realnej powstanie progimnazyum męzkie.

— Szkoły w okręgu naukowym warszawskim będą zaopatrzone w telefony.

Koleje i komunikacye. Pociągi spacerowe kolei Nadwiślańskiej przestały kursować.

Wystawy i zjazdy. Od nowego roku wejdą w życie komitety miejscowe przyszłej wystawy wszechruskiej w Niższym Nowogrodzie. Powstaną one w główniejszych ogniskach przemysłowych, przy udziale delegatów z punktów mniej ważnych. W Królestwie Polskiem zawiązane będą dwa: w Warszawie i Łodzi; w ostatnim wezmą udział delegaci Zgierza, Pabianic, Częstochowy, Tomaszowa Rawskiego i Sosnowca. W wielu okręgach i centrach handlowo-przemysłowych odbędą się w roku przyszłym wystawy miejscowe przedmiotów, przeznaczonych na wystawę w Niższym Nowogrodzie w roku 1896.

Zdrowie publiczne. Rewizya sanitarna mieszkań w miejscowościach podmiejskich utrzymaną będzie na przeciąg zimy.

— Kwarantanna przy szosie radzymińskiej ustała przerwane czasowo jarmarki w osadach gub. warszawskiej będą wkrótce wznowione, sanitarne komitety cyrkułowe zawiesiły czynności.

— Podniesiono projekt rewidowania zabawek dziecinnych na równi z artykułami spożywczymi, dla usunięcia z handlu szkodliwych dla zdrowia dzieci (np. zabarwionych trującemi farbami).

Dobroczynność publiczna. Do biura informacyi o nędzy wyjątkowej wpłynęło w ubiegłym miesiącu 2,257 rs. 86 k.; rozdano wsparcia 544-m rodzinom.

— W zakładzie starców i kalek znajduje się 360 osób (109 mężczyzn i 251 kobiet).

Zmarli. W. Zawadzka, autorka „Kucharki litewskiej,“ wdowa po znanym niegdyś księgarzu.

— Do dzisiejszego numeru dołączamy w dodatku kwartalnym ark. 31—36 **Historyi filozofii nowożytnej.**

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 16 Сентября 1894 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.